№ 45. Warszawa, dnia 6 Listopada (25 Października) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Nowe zagony. — Tydzień polityczny. — *Powieść*: Bitwa pod Waterloo przez Aleksandra Kiellanda. — *Życie społeczne*: Szkoła średniowieczna p. Al. Ł. — *Badania naukowe:* Teorya Cezara Lombroso I. p. Lud. Krzyw. — Z Niemiec p. Jana Karłowicza. — *Literatura i sztuka*: Renan w dramacie I. — Tajemnice „śmietanki" II. p. H. N. — Kartki estetyczne p. Wiktora Gomulickiego. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. K. Zbruckiego. — Z Cesarstwa p. J. L. Popławskiego. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

NOWE ZAGONY.

Ze wszystkich pól na jakich niemczyzna walczy z żywiołami słowiańskimi, najcięższą pracę ma ona w Czechach. Tam bowiem spotyka przeciwników wytrawnych, śmiałych, przebiegłych, niezmordowanych i umiejętnie wyzyskujących każde prawo zdobyte, każdą sposobność. Tam też wre bój najzaciętszy, a chociaż jedna strona posiada ciągle przewagę przywilejów, druga nie jest na tyle słabą, ażeby nigdy zwyciężyć nie mogła. W tym kotle ustawicznych i namiętnych swarów zagotowała się znowu stara nienawiść. Jeszcze w r. 1853 wydany został patent cesarski, zalecający sądom uwzględnianie języków miejscowych. W r. 1880 wyszło rozporządzenie, nakazujące w całych Czechach ogłaszać postanowienia i wyroki w tym języku, w którym wniesiono podanie do władzy. Niektóre jednakże okręgi (północno-zachodnie) utrzymały dawniejszą praktykę i pozostawiły w sądach niemczyznę. Czesi, którzy nigdy nie zapominają o swych prawach, wydobyli i to, żądając wprowadzenia go w życie. Niemcy, uznający słuszność w tem tylko, co im bezpośrednią korzyść przynosi, i pomimo niesprawiedliwej przewagi wbrew stosunkowi liczbowemu przewodząc w Austryi, skąpią najdrobniejszego ustępstwa innym ludom monarchii — naturalnie podnieśli krzyk. Jakto? dzicz słowiańska, mizerni czesi śmią dopominać się o równouprawnienie dla swego języka, śmią ograniczać ich *Weltsprache?* Jest to dziś jeszcze żądaniem tak zuchwałem, że nie każdy słowianin postawi je otwarcie i nie uklęknie na jedno kolano przed majestatem mowy, którą tak długo kazano mu uważać za świętą i nietykalną!

Minister sprawiedliwości wszakże, baron Prażak, któremu czesi dawno już dodawali odwagi w tej sprawie, zdecydował się na krok stanowczy: wydał okólnik do trybunałów nadziemskich w Pradze i Bernie, polecający, aby rezolucye, dekrety i wyroki sądowe spisywano w tym języku, w którym wniesione było podanie lub skarga. Okólnik ten, naturalnie, zobowiązuje wszystkich urzędników sądowych do znajomości dwu języków, a więc niemców — do wyuczenia się po czesku. Dla ludzi przywykłych ze wzgardą patrzeć na „narzecza" słowiańskie i poczytujących mowę swoją za jedynie zdolną do wyrażania pojęć wyższego rzędu, a zatem i zasad prawa — był tem obowiązek czemś, co wleźć nie mogło w ich kategorye myślenia. Uderzyli przeto na gwałt, a za sznur alarmującego dzwonu w parlamencie chwycił poseł Magg. Minister miał odpowiedź łatwą, bo opierał się na ustawie. Mianowicie przypomniał rozporządzenia z r. 1853 i 1880, które dały podstawę jego obecnemu okólnikowi a niesłusznie dotąd leżały na składzie niewykonane.

Niechaj jednakże czytelnik nie sądzi, ażeby ta operacya odbyła się z należytą stanowczością i bez uwagi na kaprysy amputowanego, któremu narośl odcięto. Zarówno Prażak, jak Taaffe, jak wreszcie gazety rządowi przyjazne zaklęły się na wszystkich bogów, że nawet w gorączkowych snach nie myślą o sprowadzeniu niemczyzny ze stanowiska uprzywilejowanego, że pozostawią jej „lwią cześć" praw na wieki wieków. Wszyscy ludzie życzliwi Austryi — według tych zapewnień — nie targną się nigdy na ten dogmat, że język niemiecki winien być spoidłem jej ludów, chociaż ich większość go nienawidzi i używa niechętnie. To przekonanie nie dopuszcza różnicy zdań, jest pewnikiem, niepotrzebującym dowodzenia, a wątpliwym chyba dla wartogłowów i prostaków, pozbawionych wrażliwości na „względy wyższe."

Hołd taki, złożony przez rząd i prasę językowi niemieckiemu, nie zadowolił jednak tych, którzy go dumnie przyjmowali. Ustępstwo, zrobione „czeskiemu narzeczu," obciągnęło chmurą czoła „trägerów" kultury a żałobną obwódką ich dzienniki. W rozporządzeniu ministra widzą oni gwałt, tem godniejszy nagany, że nie nasyci głodu czechów, ale go tylko zaostrzy. Rzeczywiście, zaczęli oni natychmiast żądać, ażeby na pieniądzach papierowych umieszczono również napisy w ich języku. Jakkolwiek i ta sprawa rozdmuchała wiecznie tlejące zarzewie niezgody, ma ona znaczenie daleko mniejsze od poprzedniej. Tu już nie chodzi o rzecz, ale o formę, która może być uzasadnioną, ale istoty życia narodowego nie dotyczy. Napisy czeskie na guldenach austryackich miałyby wartość bardzo nieważką, i jeżeli gazety pragskie uzbroiły się mocno do walki, dowodzi to, że lepszego do niej godła w obecnej chwili nie posiadają.

Pomijając narodowości drobne, niewywierające głębszego wpływu na bieg polityki państwowej, widzimy z nieprzerywającego się szeregu faktów, że jeśli dziś Austrya czuje pewne rozluźnienie swych wiązań, najsilniej ją rozstrajają czesi. Węgry z wyjątkowego stosunku do monarchii czerpią tylko zadowolenia, polacy galicyjscy lojalizm posuwają do najdalszych granic pokory i każde przedsięwzięcie kończą uległością dla rządu, natomiast czesi, najbardziej pomieszani z niemcami i najenergiczniejsi w dochodzeniu swych praw, wbijają klin po klinie w sękatą karpę. Wytworzyło się nawet między nimi stronnictwo, które apostołuje wszechsłowianizm i niedwuznacznie napomyka, że zamieniłoby stosunek obecny na inny. Stronnictwo to bez skrupułu poświęca interesy monarchii już nie dla potrzeb własnego

kraju, ale dla zgody z logiką doktrynerstwa. Usuwając wszakże z rachunku te teoretyczne, często grubą ślepotą zaprawione mrzonki, same praktyczne i konstytucyjne dążenia czechów naruszają ciągle spójność Austro-Węgier, gdyż są wymierzone przeciwko niemieckiemu charakterowi państwa i przeprowadzane z niezłomną wytrwałością. Pozostawiamy na uboczu pytanie: czy zawsze korzyść najbliższa zawierała w swem łonie dalszą, czy niekiedy wzgląd na dobro ogólne nie wymagał pewnej ofiary z dobra szczegółowego, gdyż ścisła odpowiedź byłaby tu niemożliwą; zaznaczamy ową nieustającą pracę czeską nad poprawą doli narodu i nad rozluźnieniem węzłów, trzymających zlepek austryacki w jedności. Jeżeli monarchia habsburska zmieni swą postać, przenarodowi się, odniemczeje nie wskutek przyczyn zewnętrznych, lecz rozwoju wewnętrznego, w kierunku tym popchną ją głównie nie polacy, rusini, słowacy lub słowieńcy, lecz czesi. Oni stanowią w niej najruchliwszy, najwytrwalszy i najśmielszy czynnik słowiański, oni najmniej kierują się w polityce interesami całego państwa. Najlepiej pojmiemy tę ich działalność, jeżeli równolegle z nią ocenimy zasady postępowania galicyan. Polacy, występując z jakiemkolwiek żądaniem, badają przedewszystkiem, czy ono nie szkodzi rządowi, a najmniejsza wątpliwość skłania ich do zrzeczenia się najsłuszniejszych pretensyj; czesi, przeciwnie, cele ogólne usuwają sobie z przed oczu i wpatrują się jedynie w dobro własne, które tworzy wyłączną podstawę każdego ich przedsięwzięcia. Pierwsi dopasowywują się do państwa, drudzy wyosobniają się z niego. Przyszłość okaże, która metoda była lepszą na daleką metę, teraźniejszość musi wystawić czechom świadectwo niezmordowanej troskliwości o siebie. Po tej drodze idą oni ciągle naprzód, i przyznać trzeba, że w krótkim stosunkowo czasie — uszli daleko. Jak widzieliśmy, świeżo zdobyli nowe zagony.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przybycie okrętów wojennych rosyjskich do Warny, jeżeli nie jest wstępem do okupacyi, samo przez się przedstawia bardzo poważny i energiczny środek oddziaływania na rząd bułgarski i opinię kraju. Skorzystał zeń natychmiast Kaulbars i przesłał regencyi notę z żądaniem, aby oficerów uwięzionych wypuszczono i zaprzestano prześladowania poddanych rosyjskich oraz „zdrowo-myślących“ bułgarów. Rząd bułgarski rzeczywiście głównych uczestników spisku—Grujewa i Benderewa uwolnił (wprawdzie za kaucyą) i poprosił przedstawiciela Rosyi o wskazanie winnych dla surowego ich ukarania. P. Kaulbars na to odpowiedział znowu przesłaniem *ultimatum*, w którem oświadcza, że w szczegóły sprawy wdawać się nie będzie, gdyby jednak nastąpiły jakiekolwiek zaburzenia, skierowane przeciw Rosyi lub poddanym rosyjskim, przedstawiciele rządu cesarskiego opuszczą natychmiast Bułgaryę.

Regencya po tak stanowczem oświadczeniu wykazywać zaczęła dążności pojednawcze. Zaproponowano nawet przedstawicielowi Rosyi, że utworzony będzie rząd koalicyjny, złożony z reprezentantów wszystkich stronnictw. Świadomi rzeczy korespondenci twierdzą jednak, że nie zmieniłoby to sprawy, ponieważ Karawełow i Cankow występują głównie ze względów osobistych i potępiają tylko niewłaściwy sposób postępowania, w zasadzie zaś podzielają poglądy regencyi.

Pojednawcze usposobienie wyraziło się również w mowie, wygłoszonej przez Stambułowa przy otwarciu zgromadzenia narodowego w Tyrnowie. Stronnictwo niezależne posiada w sejmie znaczną większość, ale ta rozpada się na dwa odłamy: umiarkowanych, pragnących polubownego zakończenia sprawy, i „gorliwych,“ którzy postawić chcą kandydaturę Battenberga i otwarcie zerwać z opieką rosyjską. Umiarkowani bezwątpienia wezmą górę, tem bardziej, że w stanowczej chwili poprą ich zwolennicy Karawełowa i Cankowa, zamierzają oni wybrać na tron księcia Waldemara duńskiego, chociaż ten prawpopodobnie wyrzeknie się tak niebezpiecznego zaszczytu, zwłaszcza że mocarstwa nie uważają zgromadzenia za legalne. Dotychczas w Tyrnowie znajdują się tylko konsulowie angielski i włoski, ale i ci przy otwarciu obrad nie byli obecni. Austrya dopiero w ostatniej chwili wysłała wice-konsula, i to podobno za zgodą Rosyi. Jest to po prostu manewr, mający na widoku ułagodzenie opozycyi we wspólnych delegacyach, które właśnie w tych dniach zbiorą się i zażądają objaśnień od rządu w sprawach polityki wewnętrznej.

Sprawa egipska przybierać zaczyna obrót niepożądany dla Anglii, Francya bowiem, pewna poparcia Rosyi i Turcyi, występuje dosyć energicznie. Przywrócenie stosunków przyjaznych między rządem francuskim i rosyjskim stwierdzone zostało zamianowaniem posła Rzeczypospolitej w Petersburgu p. Laboulaye'a, syna znanego pisarza i zaciętego nieprzyjaciela Niemiec. Rosya dała w tym względzie nawet dowód uprzedzającej grzeczności, pierwszy raz, wbrew tradycyom, przyjmując posła cywilnego.

Z nastąpieniem jesieni, zaczynają się znowu ruchy robotnicze. W Charleroi w Belgii odbyła się wielka manifestacya, w której przyjęło udział 12,000 ludzi. Telegramy wyrażają się o niej bardzo dwuznacznie: „nastąpiło starcie z wojskiem, ale porządek nie został zakłócony.“ Socyaliści londyńscy zamierzali urządzić wielki pochód lecz ministeryum zabroniło. Ale ponieważ rozkaz ten jest pogwałceniem konstytucyi, komitet robotniczy oświadczył, iż pomimo to pochód w d. 9 listopada nastąpi i uczestnicy jego wszelkimi środkami bronić będą swobody konstytucyjnej. Oprócz tego kłopotu dla rządu angielskiego, posiada on inny, chroniczny, który jednak od czasu do czasu występuje w ostrzejszej formie. W Irlandyi liczba przestępstw rolnych wzrasta znowu. Rząd wystąpić myśli z całym szeregiem reform, ale

---

5)

POWIEŚĆ.

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

Nagle zerwał się. Kapitan uderzył go w ramię.

— Ten więc punkt miałem zająć. Cóż pan o tem myślisz?

Tu przypomniały się Jasiowi rady wuja Fryderyka, i kiwając gwałtownie głową, zawołał:

— Naturalnie! Rzecz jedynie właściwa! Klucz pozycyi.

Kapitan schmurniał i spoważniał bardzo, lecz gdy spostrzegł zakłopotanie Jasia — dobroduszność jego znowu wzięła górę, i śmiejąc się, rzekł:

— Nie, mój szanowny młodzieńcze, mylisz się najzupełniej... Zresztą, dodał z łagodnym uśmiechem, jest to błąd, który pan podzielasz z kilkoma naszemi wielkiemi powagami... Nie, teraz ja panu wskażę klucz pozycyi.

I kapitan rozpoczął rozwlekłe opowiadanie: pozycya, którą mu rozkazano zająć, nie miała żadnego strategicznego znaczenia — natomiast manewry, które na własną rękę przedsięwziął, wprowadziły nieprzyjaciela w kłopot największy, tak, że korpus B. był przez kilka godzin wstrzymany, nie mogąc się naprzód posunąć.

Kuzynek Jaś był zmęczony i obojętny; podziwiał jednak mądre postępowanie zwierzchnika względem kapitana w razie, gdyby opowiadanie wuja Fryderyka o orderze przy szabli nie było zupełnie na prawdzie oparte. Bo jeśli manewry prowadzone samodzielnie przez kapitana były może w strategicznem znaczeniu genialne, to zasłużył zupełnie na order przy szabli. Ale z drugiej strony było jasnem, że w takiej armii, jak nasza, nie można go już było do niczego użyć, jeśli mógł myśleć, że celem strategii jest kogokolwiek wstrzymać, albo w kłopot wprowadzić. Wszak musiał wiedzieć, że cel w tem właśnie leży, aby obie nieprzyjacielskie armie z bagażami i wozami kuchennymi zetknęły się w oznaczonym czasie, na oznaczonem miejscu tam, gdzie wielkie śniadanie miało być podane.

Jaś siedział jeszcze zatopiony w myślach, gdy kapitan dokończył opowiadania o manewrach. Tym razem był o wiele mniej zadowolony ze swojego słuchacza, aniżeli w fortecy, bo Jaś był nieco roztargniony.

Wybiła dziewiąta. Ale ponieważ kuzynek Jaś postanowił zostać do w pół do dziesiątej, było to zatem najdłuższe pół godziny, jakie dotąd przeżył.. Kapitan począł być śpiący a panna Betty odpowiadała zimno i krótko; Jaś musiał sam podtrzymywać rozmowę—zmęczony, zły, nieszczęśliwy i zakochany.

Nareszcie na zegarze dochodziło w pół do dziesiątej. Jaś wstał, mówiąc, że zwykł wcześnie udawać się na spoczynek, ponieważ najlepiej może pracować, gdy wstaje o szóstej.

— Oh, o — mówił kapitan — czy pan to nazywasz wcześnie udawać się na spoczynek? Ja zwykle kładę się o dziewiątej.

O nieszczęście nad nieszczęściami! Jaś w największym pośpiechu powiedział „dobranoc“ i szybko zbiegł ze schodów.

Kapitan odprowadził go ze świecą i przyjacielsko zawołał:

— Dobranoc! — Niech pan nas znowu i prędko zaszczyci nas swoją wizytą.

— Dziękuję — wołał Jaś z dołu, ale w głębi duszy obiecywał sobie nigdy już progu tego domu nie przystąpić.

Kiedy stary wchodził do pokoju, zobaczył, że córka jego była zajęta otwieraniem okien.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kapitan.

— Przewietrzam po nim pokój — odpowiedziała panna.

— No, no, Betty! Jesteś zanadto złośliwa. Ale w samej rzeczy muszę przyznać, że młodzi ludzie po bliższem poznaniu trochę tracą. Nie znam się już na dzisiejszej młodzieży.

Potem kapitan odszedł do swojego pokoju, powtarzając córce zwykłe wieczorne napomnienie: — tylko nie siedź za długo!

zresztą jest przekonany, że ustępstwa te nie zadowolnią irlandczyków, w najlepszym razie złagodzą tylko przebieg wypadków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁA WSPÓŁCZESNA.

Z najeżonych dziś bagnetami Niemiec dolatuje nas znowu myśl godna uwagi, spłodzona w głowach profesorów tamtejszych i rzucona światu — z katedry.

Tym razem „reformatorowie katedralni“ mają na względzie szkołę i żądają przekształcenia jej w imię szczęścia całej ludzkości. Mówimy tu o profesorach, którzy od niejakiego czasu rozpoczęli silną agitacyę za włączeniem do obowiązującego programu szkół niższych i średnich—nauk społeczno-ekonomicznych; pojawiają się nawet obecnie na półkach księgarskich wydane w tym przedmiocie dzieła i broszury (P. Jende—*Schule und Volkswirthschaft*, Fr. Jodl — *Volkswirthschaft u. Ethik* i inne). Myśl owa znajduje coraz więcej zwolenników i gorących obrońców.

„Był czas — powiadają oni — gdy powszechnie sądzono, że szkoła, przy jej dzisiejszym ustroju, jest w stanie wybawić ludzkość od wszelkich bied natury ekonomicznej. Optymizm ten jednak minął już dawno, a nawet daje się spostrzegać tu i owdzie pewna reakcya w poglądach naszych na działalność szkoły spółczesnej, zewsząd słychać głosy potępiające jej niemoc i bezsilność w tym względzie.“

Istotnie pesymizm nasz rozpowszechnia się coraz bardziej w tym kierunku i zdobywa sobie trwały grunt pod nogami. Szkoła współczesna dąży do rozwijania umysłów swych wychowańców, dostarcza im wiadomości elementarnych z rozmaitych gałęzi wiedzy ludzkiej, zapoznaje ich ze środkami racyonalnymi, a praktycznymi do walki o byt. Zadanie to urzeczywistnia się w pewnej mierze już w szkole elementarnej; im wyżej — tem pewniej osiągany bywa cel powyższy.

Ucząca się więc młodzież otrzymuje w szkole spory zasób wiedzy, co przy rozwinięciu widnokręgu myśli umożliwia odnoszenie tem łatwiejszych zwycięztw na polu walki ekonomicznej. Nic nadto ona dziś nie daje, a przy obecnym jej stanie — dać nie może.

Nasze życie społeczne tymczasem płynie nieco odmiennem łożyskiem. Jakkolwiek udoskonaliłaby system pracy, jakkolwiek powiększyłaby jej wytwórczość, nie wybawi od nędzy i wyzysku znacznej większości ludzi, nie nauczy jej nawet korzystania choć w części ze zdwojonej produkcyjności pracy. Cała wiedza szkolna nie stanie również na przeszkodzie i temu, ażeby liczna klasa drobnych wytwórców: rolników, rzemieślników itd. nie została pochłoniętą i pobitą w walce z kapitalizmem rozpanoszonym, ażeby drobne gospodarstwa rolne nie ustąpiły z placu przed latifundyami, ażeby stuk młotka ręcznego na warsztacie rzemieślniczym nie został całkowicie zagłuszony stukiem kół maszynowych i świstem lokomobil; owszem, szkoła jest jednym z głównych czynników, wpływających na powiększanie się z rokiem każdym liczby robotników bez pracy, ludzi bez zajęcia. Przed laty przemysł zatrudniał więcej rąk (stosunkowo do rozmiarów produkcyi), a jak w fabrycznej Anglii — nawet bezwzględnie większą liczbę robotników, niż dzisiaj, pomimo iż suma produkcyi Anglii dzisiejszej o wiele przewyższa ówczesną. Marks w swoim *Kapitale* (t. II) przytacza przykłady, że gdy przed laty 40 pewna gałąź produkcyi fabrycznej zatrudniała 100 osób, dziś liczba robotników zmniejszyła się do 25 — 40, a suma produkcyi (przy takim samym nakładzie kapitału) wzrasta w dwójnasób, w niektórych zaś gałęziach przemysłu — nawet w czwórnasób (tkactwo).

Szkoła więc, w obszernem tego słowa pojęciu, przyczynia się do wzrostu nędzy, powiększa ilość proletaryuszów, rozszerza i pogłębia przepaść, dzielącą „chlebodawców“ (!) od pracowników, czyli wyzyskujących od wyzyskiwanych: im większe postępy czynią: chemia i technika mechaniczna, im bardziej się doskonalą (dzięki szkole) środki produkcyi, tem większe, wraz z nimi, czynią postępy: głód i nędza tuż obok przesytu i zbytku nielicznej klasy uprzywilejowanej. Wpływ ten szkoły spostrzegli już dawno ekonomiści, z J. St. Millem na czele, lecz nie głosowali przeciwko niemu, gdyż w przeciwnym razie musieliby potępić jednocześnie i dążności cywilizacyjne, oraz spaczyliby ideę panującą o zadaniu szkoły, ideę, ugruntowaną, bądź co bądź, na całkiem racyonalnych podstawach. Mając to na względzie i uważając dążenie w tym kierunku za „pobożne życzenie“ tylko, ekonomiści milczą uporczywie.

Dopiero w roku minionym i bieżącym daje się spostrzegać (w Niemczech) pewien zwrot w tym względzie i pewien optymizm w poglądach profesorów-ekonomistów na kwestyę reformy szkoły współczesnej, a raczej zmiany jej dotychczasowego kierunku.

Ucząca się młodzież otrzymuje w szkole najróżnorodniejsze wiadomości z rozmaitych sfer wiedzy ludzkiej, z wyjątkiem najważniejszej dziś może w wieku „walki z kapitalizmem“—sfery nauk społecznych i ekonomicznych. „Uczymy dzieci nasze — wówi p. Jende — jak królowie egipscy prześladowali ongi żydów, opowiadamy im o „cudach,“ tworzonych przez Mojżesza, o grekach i rzymianach, o królach i książętach, o całym szeregu wojen, prowadzonych w rozmaitym czasie; opowiadamy o budowie naszej ziemi i innych planet, o życiu roślin i zwierząt, o wzajemnem oddziaływaniu na siebie rozmaitych ciał w procesie chemicznym itd. O jednem tylko nie mówimy ani słowa — o życiu społecznem ludzi i o prawach, jakie niem rządzą. A czyż to rzeczy mniej ważne i mniej związane z postępem ludzkości, niż np. geografia fizyczna? Niejednokrotnie słyszymy zdania, że wszelkie reformy społeczne, zalecane przez radykalistów, na dziś są jeszcze zawczesne, umysły bowiem nie są dostatecznie przygotowane do przyjęcia ich i zrozumienia. Lecz czyż my dążymy w tym kierunku, czyż usiłujemy przygotować grunt dla zmian radykalnych, usposobić umysły do pojęcia ich celu i doniosłości? Czyż nawet ci, którzy uznają konieczność reformy obecnego ustroju społecznego od góry do dołu, wyrzekli dotąd choć jedno słowo za zmianą i uzupełnie-

---

Kiedy Betty została sama, zgasiła świecę, zdjęła kwiaty z rogowego okna i usiadła na niem, opierając nogi na fotelu.

Pomiędzy dwoma wysokimi domami, podczas jasnej księżycowej nocy, mogła widzieć świecący się pas morza.

Było to nie wiele, ale był to zawsze pas wielkiej drogi, prowadzącej na południe— w obce kraje.

I tęsknota jej, i życzenia pobiegły daleko, postępując tą samą drogą, po której tyle młodych ptasząt zmęczyło w locie swe skrzydła, naprzód przez ową wązką zatokę ku południu, gdzie horyzont wysoko się wznosi, gdzie serce się rozszerza a myśli stają się wielkie i odważne.

Betty westchnęła, spoglądając na mały pas wody, błyszczący między wysokimi domami.

Nie myślała z pewnością o kuzynku Jasiu, siedząc tam na oknie; ale on myślał o pannie Schrappe, pędząc szybkimi krokami przez ulicę.

Nigdy jeszcze nie poznał młodej osoby, którąby mu mniej przypadała do smaku. A że był dla niej niegrzecznym, to nie zmieniało położenia. Nie jesteśmy skłonni uważać za przyjemnych ludzi, którzy stali się przyczyną naszych błędów. Pocieszał się, powtarzając sobie: „ona nigdy nie wyjdzie za mąż.“

A potem myśli jego przeniosły się do ukochanej, która jutro odjechać miała.

W duszy przedstawiał mu się cały smutny los jego i poczuł niepohamowany popęd wyrazić w słowach ból swój przed przyjacielem, któryby był w stanie go zrozumieć.

Ale znaleźć o tej godzinie przyjaciela, usposobionego do słuchania żalów, było rzeczą niełatwą.

Wuj Fryderyk bywał niekiedy jego powiernikiem — jego też chciał teraz odszukać. Wiedząc, że miał być u ciotki Maren, poszedł na przeciw ku zamkowi, aby go spotkać, gdy będzie do domu wracał. Szedł jedną z wązkich alei na prawo, wiedząc, że wuj Fryderyk tamtędy lubił chodzić. Uszedłszy kawałek, usiadł na ławce i czekał.

Musiało być niezwykle zabawnie u ciotki Maren, jeśli wuj mógł do godziny dziesiątej wytrzymać.

Nareszcie na końcu alei spostrzegł biały punkt — była to wuja biała kamizelka, zbliżająca się do niego.

Wstał z ławki i poważnym tonem zawołał:

— Dobry wieczór!

Wuj nie lubił spotykać w ciemnych alejach przechodniów samotnych; było mu więc bardzo przyjemnie, gdy poznał swego siostrzeńca.

— Ach to ty, Jasiu! — zawołał przyjacielsko. Kogóż tu wyczekujesz?

— Ciebie wuju — odpowiedział Jaś ponuro.

— Ach tak! Cóż ci to w drogę weszło?... Czy jesteś chory?

— Nie pytaj mnie! — odrzekł Jaś.

Każdym innym razem byłoby to wystarczyło, aby wywołać ze strony wuja prawdziwy grad zapytań; ale tego wieczoru był tak zajęty swojemi wrażeniami, że na inny raz odłożył kwestye tyczące się siostrzeńca.

— Zresztą — mówił wuj — głupio bardzo zrobiłeś, nie idąc ze mną do ciotki. Jaki przyjemny spędziliśmy wieczór; byłoby to właśnie coś dla ciebie. Bo widzisz, był to rodzaj pożegnalnego wieczoru na cześć pewnej młodej osoby, która chce jutro odjechać.

Jaś miał straszne przeczucie.

— Jakże się ona nazywa? — zapytał — szczypiąc wuja w rękę.

— Au!—krzyknął wuj Fryderyk — panna Bech.

Jaś rzucił się na ławkę.

Ale zaledwie upadł, kiedy głośno krzyknął, i wyciągając z kieszeni coś małego, chropowatego, rzucił tak, że poleciało do końca alei.

— Chłopcze, cóż tobie jest? — zawołał wuj Fryderyk — cóżeś takiego rzucił?

— Ach, to był ten przeklęty Blücher — odrzekł Jaś, bliski płaczu.

Ale wuj Fryderyk ledwie zdążył wymówić: czyż ci nie mówiłem: „strzeż się Blüchera“. — potem wybuchnął śmiechem niebezpiecznym dla swego życia, śmiechem, który słyszano jeszcze, gdy był na drugim końcu alei.

Tłom. *Fr. P.*

niem programu normalnego szkoły współczesnej?"

Ostateczne wnioski, do jakich dochodzą „reformatorowie katedralni," dadzą się streścić w kilku następujących słowach: Szkoła powinna być wszechstronnym, nie zaś jednostronnym czynnikiem cywilizacyi, ponieważ sprawy społeczno-ekonomiczne należą do najbardziej palących zagadnień wieku XIX, szkoła powinna przodować w tym kierunku, nie zaś być hamulcem w postępie ludzkości, a tembardziej oddziaływać ujemnie, chociażby pod pewnym tylko względem. Radykalne reformy społeczno-ekonomiczne są dziś tylko kwestyą czasu, szkoła więc powinna to uwzględnić, powinna kształcić w ten sposób młode pokolenie, a do dzisiejszego programu nauk szkół niższych i średnich włączyć jaknajprędzej nauki ekonomiczne.

Al. Ł.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA CEZARA LOMBROSO.

I.

Od niejakiego czasu objawy umysłowe Włoch zaczynają zwracać na się coraz większą uwagę i to zarówno w dziedzinie badań czysto naukowych, jako też i twórczości artystycznej, wyrażonej w słowie, tembardziej, że noszą na sobie pewne charakterystyczne znamię, wspólne zresztą krajowi temu z wszystkimi innymi, co długo odsunięte od współudziału w pochodzie cywilizacyjnym zachodniej Europy, przyłączają się doń dopiero w czasach ostatnich. Podobieństwo jest zwłaszcza rażącem między Włochami a Rosyą. I tu i tam wykwitła nieznana prawie gdzieindziej forma powieści, polegająca na ścisłem odwzorowywaniu prądów, żądań i pragnień ludu wiejskiego, i to nie w zamiarze dostarczania przyjemności czytelnikowi, lecz ażeby zaznajomić go z życiem i potrzebami mas włościańskich. Są to więc raczej szkice publicystyczne o tendencyi społecznej, stawiającej sobie na celu wytworzenie partyj, któreby dążyły jedynie do zaspakajania potrzeb warstw niższych. Następnie rzuca się w oczy niezwykły radykalizm myśli, który wychodząc z założeń pewnych, dowiedzionych zresztą za granicą, konsekwentnie doprowadza je do ostatecznych wniosków praktycznych i logicznych, a natychmiast chciałby je wcielać w życie. Nauka ma tu charakter więcej popularyzacyjny, a nawet publicystyczny. Czemkolwiek wyjaśniać będziemy taką krańcowość w wnioskowaniu, czy brakiem tradycyi historycznej i samodzielnych przyzwyczajeń w społeczeństwie, czy też wpływem klimatu, fakt ów pozostaje rzeczywistością, dostarczającą właściwych sobie owoców. W tej mierze Włochy stanowią ostry kontrast z Anglią, która przyjąwszy nawet pewną teoryę naukową, unikać będzie starannie wypływających stąd wniosków, skoro one stanęłyby w zanadto jaskrawem przeciwieństwie z poglądami i uczuciami społeczności. Dzięki takiemu usposobieniu, wiedza we Włoszech postradała ten charakter zamknięcia kastowego w sobie i wzgardliwej olimpijskiej powagi, jakiemi otacza się w niektórych krajach. Ze swych wyżyn, w osobie najprzedniejszych przedstawicieli schodzi co chwila i miesza się w sprawy zwykłych śmiertelników; nie pogardza nawet polem zapasów dziennikarskich, to w formie popularnej szerząc swe poglądy i walcząc za ich rozpowszechnienie, to odpierając ciosy, które spadają na nią z pod pióra zwykłych profanów. Wprawdzie ścisłość traci na tem, namiętności dnia wkradają się w naukę, ale ostatecznie opłaca się to sowicie. Dziennikarz wobec takich przeciwników musi sam zaglądać do dzieł naukowych; więc usuwają się chwasty gazeciarskie, wyrokujące o wszystkiem, znanem i nieznanem, a umykające od poważniejszych studyów naukowych, jako od dżumy. Ażeby zyskać miano obrońcy wiedzy, trzeba nietylko umizgać się do publiczności z uwielbieniem swem dla nauki, lecz i samemu coś umieć.

Przed nami leży zbiór właśnie takich artykułów popularnych Cezara Lombroso, zatytułowany *Pazzi ed Anomali* (1886). Zanim jednak przedstawimy czytelnikom *Prawdy* niektóre z pomiędzy nich, rzekniemy uprzednio słów kilka o uczonym włochu i jego teoryi naukowej.

Pozyskał on imię rozgłośne zaledwie przed laty trzema lub czterema dziełem: *Geniusz a obłąkanie* (Genio e Follia). Usiłuje tu dowieść, że obłąkanie i objawy geniuszu są zarówno nietylko stanami nienormalnymi, lecz nadto poniekąd pokrewnymi sobie. Psychologiczne warunki, wśród których geniusz tworzy swe dzieła, są w gruncie rzeczy jednakie z wywiązującymi waryactwo; tem się wyjaśnia, że ludzie, nieodznaczający się zgoła niczem, w chwilach szału waryackiego, dają rzeczy niezwykłej wartości artystycznej, a geniusze po przejściu zachwycenia stają się pospolitymi śmiertelnikami, niepojmującymi częstokroć, skąd mieli sił tyle, ażeby stworzyć arcydzieło. I waryactwo i twórcza działalność geniuszu są stanami czasowej hyperemii mózgu, odznaczającymi się żywiołowem wyładowywaniem idej i obrazów, skierowaniem wyłącznem wszystkich wyjawów psychicznych w jedną stronę i obojętnością względem wszelkich innych stron życia. W życiu codziennem i jedni i drudzy są odludkami, zimnymi na uczucia rodzinne, zatopionymi w samych sobie, z wspólnemi piętnami kramologicznemi i odrębnemi chorobami. Krom dwu powyższych postaci, Lombroso wyróżnia jeszcze działy pośrednie, a takie typy półobłąkane, lecz nie na tyle, ażeby otoczenie przyznało je za waryatów, są częstem zjawiskiem zwłaszcza wśród nowatorów społecznych. W tem znajduje swe wyjaśnienie właściwa im śmiałość tworzenia nowych ideałów i urządzeń politycznych, albowiem normalny człowiek z natury jest zachowawcą, z odrazą i bojaźnią spoglądający na wszelkie nowinki. Atoli w rzeczonem dziele zawarła się jedynie nieliczna cząstka badań antropologa włoskiego. Należy on jeszcze do założycieli teoretycznych tak zwanej *antropologicznej szkoły prawa karnego*, którą czytelnicy *Prawdy* znają z niedawno przełożonej broszurki Ferrego. Zasady naukowe tego kierunku wypowiedział Lombroso w swem prawdopodobnie najcenniejszem dziele: *Człowiek-przestępca* („l'Uomo delinquente"). Jak waryat jest człowiekiem poza-społecznym, tak geniusz — nadspołecznym, wybiegającym z teraźniejszości w przyszłość, podobnież przestępca stanowi odchylenie w wstecz, w przeszłość pierwocin społecznych. Jest to atawistyczny odrostek człowieka dzikiego wpośród świata cywilizowanego, obdarzony wszystkiemi cechami morfologicznemi, fizyologicznemi i psychicznemi wieków dawno ubiegłych. W pojmowaniu bowiem rozwoju ludzkości, uczony włoch stoi na stanowisko Spencerowskiem, widzi w niej ciągle wzrastające umoralnianie i uspołecznianie popędów oraz udoskonalanie nawet samych kształtów zewnętrznych. Dziki przedstawia się mu jako uosobienie popędów grubiańsko-lubieżnych, żądz krwiożerczych, nieobecności uczuć sympatycznych. Takie to osobniki tu i owdzie dochowały się po dziś wśród ludów cywilizowanych, i im podobniejsze są z swych instynktów do przeszłości dzikiej, tem anti-społeczniejsze i silniej zbrodnicze. Tem się tłomaczy, że dziecko, które zwłaszcza w pierwszych miesiącach życia przypomina typ dziki i morfologicznie i psychicznie, tak, iż stanowi niby odtworzenie pierwotnych etapów człowieczeństwa, czuje pociąg także ku czynom zbrodniczym i odznacza się dzikimi stanami uczuć (lubowaniem się w pastwieniu, nieczułością na cierpienia innych, kradzieżą bez celu). Atoli kiedy większość „cywilizuje się" z wiekiem, niektóre jednostki na zawsze zatrzymują naturę dziecińśtwa i pewne odpowiedne stałe cechy fizyczne. Są to zbrodniarze; noszą więc od urodzenia wyryte na sobie znamię Kainowe, przejawiające się w zewnętrznej i zewnętrznej naturze. Długość rąk zbliża ich do dzikiego (i do czwororecznych); objętość czaszki mniejsza niż u człowieka normalnego; uwłosienie brody rzadkie, natomiast czupryna gęsta. Odznaczają się nieczułością na chłód i ból, trudno się rumienią, ale za to nader wrażliwi są na zmiany meteorologiczne i działanie elektryczności; lubią pochlebstwo, są rozrzutni, skłonni do pijaństwa i rozkoszują się raczej w orgiach, aniżeli w miłości, chytrzy ale nie inteligentni. Oto cechy zasadnicze, właściwe wszystkim kategorym zbrodniarzy; do nich dodać trzeba drugorzędne, wyróżniające każdy z trzech działów poszczególnych (złodzieje, zabójcy i gwałciciele).

Zbrodniarz, zdaniem Lombroso, jest to więc człowiek dziki, który przez wieki całe zabłąkał się w społeczeństwa cywilizowane. Jego wyznaczniki kraniologiczne, długość rąk i forma nóg, napięcie siły w mięśniach, kształt nosa, spojrzenie i chód, wszystko wykazuje potępieńca, który swe potępienie przyniósł z sobą na świat. Prawdę tę dawno uznało doświadczenie ludu, wypowiedziane w przysłowiach *). Wobec takiej wrodzoności przestępstwa, jak zachować się ma praktyka karna? Oto za skalę postępowania służyć winien psychiczny i fizyologiczny stan przestępcy; nie sam czyn zbrodniczy, lecz to, czy występek jest wypływem organizacyi fizycznej. Wychodząc z tego założenia Scalia, Ferri, wreszcie sam Lombroso („l'Incremento del delitto in Italia") postawili szereg żądań praktycznych, o kierunku których niech da nam pojęcie sam projektodawca, „My pierwsi pośród *ogólnego* oburzenia mówiliśmy o korzyściach kary cielesnej, zwłaszcza w odniesieniu do malców, i powstawaliśmy przeciwko kozie, stanowiącej jedynie szkołę zepsucia, jako też o karze śmierci w niektórych razach; następnie sam już występowałem przeciw złudzeniu, jakoby wykształcenie zdołało poprawić dorosłego przestępcę; wykazywałem, że daje mu jedynie nowy oręż do ręki, a przedewszystkiem, że nie potrzeba myśleć o poprawie zbrodniarza z takimi nauczycielami jak dozorcy, na których więzień spogląda jako na ciemiężycieli."

Po tem przedmiotowem streszczeniu poglądów Lombrosa, przystępujemy do zdania sprawy z paru rozpraw najnowszych tego uczonego, zawartych we wspomnianem dziełku. Zauważymy jeszcze, że jest on autorem kilku cennych prac z zakresu psychologii („Pensiero e meteore," „Amore nei pazzi," „Il sogno"), a nadto, że przeciwko poglądom jego i wnioskom praktycznym toczy się namiętna walka, prowadzona przez imiona poważne w świecie naukowym i w zakresie dążności humanitarnych. Z ust zasługujących na zaufanie słychać zarzut, że antropolog włoski zbyt pochopnie i bez należytych podstaw szafuje waryatami i zbrodniarzami, że zbyt jednostronnie spogląda na zjawiska społeczne i powody zbrodni i że, przyjąwszy nawet jego założenia, możnaby znaleźć humanitarniejsze wyjście. Jakkolwiek tym

*) Lombroso i inni porównywali przysłowia odnośne z wynikami swych badań. Oznaki, przypisywane złoczyńcom w przysłowiach ludowych, zgadzają się z piętnami, wykazanemi przez tych badaczów.

i wielu jeszcze innym zarzutom przyznajemy zupełną słuszność i lubo w wielu zasadniczych punktach uważamy się za przeciwnika tego badacza, z przyjemnością jednak widzielibyśmy prace, z których możnaby powziąść wyobrażenie o poglądach i badaniach jego, w przekładzie polskim. Zasługuje na to chociażby dla swej oryginalności i konsekwentnego przeprowadzenia psychologicznego pojmowania dziejów, że już nic nie rzekniemy o naukowem znaczeniu badań jego.

Lud. Krzyw.

Z NIEMIEC.

Drezno, październik, 1886.

Siódmy zjazd oryentalistów w Wiedniu. — Sylwetki wybitniejszych członków. — Awantura arabska i na nią odpowiedź wiedeńska. — Chiny i Japonia górą.— Treść rozpraw w wydziałach. — „Schriftstellervereinigung" liczy 25 głosek i trzy damy.

Trzy lata temu zdawałem sprawę w *Prawdzie* (1883, nn. 40 i 41) o zjeździe oryentalistów w Lejdzie. Sędziwy prezes kongresu, teolog Kuenen, żegnał tam nas słowami: „do widzenia w Wiedniu;" jakoż zgromadziliśmy się znów w 27 września w tej samej prawie liczbie i w tym samym celu nad Dunajem; tylko Kuenen nie mógł dotrzymać słowa z powodu niezdrowia.

Nie przybyło wielu też innych: jednych śmierć zabrała, innym znowu różne zawady na drodze stanęły; wielu zapisało się na członków i składkę opłaciło, mimo że przybyć nie mogli. Z polaków do rzędu tych ostatnich należeli: prof. Baudouin de Courtenay, hrabiowie Dzieduszycki i Konst. Przezdziecki; byli zaś obecnymi: profesorowie krakowscy Sokołowski i Straszewski, przyszły ich kolega dr Hanusz, Bron. Hirszband z Warszawy, pracujący od lat kilku nad sanskrytem w Wiedniu i niżej podpisany.

Starałem się w *Kraju* (n. 40) dać wyobrażenie o przebiegu dziejów, że tak powiem, towarzyskich kongresu; więc, ażeby się nie powtarzać, wyliczę tutaj najzasłużeńszych członków jego i zwrócę uwagę czytelnika na najważniejsze ich wnioski i odczyty naukowe.

Rozpocznijmy od przyjrzenia się całemu gronu na pierwszem posiedzeniu, w pysznej auli nowowzniesionego uniwersytetu.

Dwie trzecie twarzy znajomych z Lejdy. Trzy lata nie zmieniły tak dalece fizyognomij: troszkę starsze, troszkę więcej osiwiałe i przygarbione, ale rysy te same i nawet ubrania mało zmienione.

Ten niski, trochę przygarbiony pan, z krótko przystrzyżoną szpakowatą brodą, w modnym fraku i ze złocistym jakimś orderem na szyi, to sławny Guimet, założyciel jedynego w świecie muzeum mitologicznego, które się obecnie przenosi z Lyonu do Paryża. Mówi mi, że zbiory swoje w ciągu lat trzech prawie podwoił; a ja mu udzielam wiadomości, że *Wędrowiec* warszawski świeżo wydrukował przekład opisu podróży jego na wschód; bardzo go to cieszy, pierwszy raz się o tem dowiaduje.

Ten brunet z zawiesistym wąsem, to dyrektor muzeum Guimeta, pan Milloué, który przywiózł odczyt o religii dżajnów, łączącej w sobie zasady bramańskie z buddyzmem.

Powszechną ciekawość budzą dwie figury oryentalne: profesor z Puna w Indyach, rodowity indyanin (mówiąc nawiasem— wygląda na istnego cygana węgierskiego), ubrany mniej więcej po europejsku, nawet w okularach, ale na głowie dźwiga biały turban, a ramiona przykrywa sobie długim białym zwiniętym zawojem; nazywa się Bhandarkar; będzie miał parę odczytów o zabytkach sanskryckich, ułoży odę w tymże języku na cześć kongresu i przez cały czas pobytu swego w Wiedniu będzie przedmiotem ciekawości gawiedzi ulicznej. A tam znowu, w pierwszym rzędzie krzeseł, tuż przy stole prezydyalnym, zasiada syn pustyni, książę arabski, w stroju narodowym, z obliczem jakby wyjętem z jakiegoś obrazu biblijnego: to szeik Fathallah, inspektor studyów arabskich w Egipcie; przybywa prosto z Kairu; na ostatniem posiedzeniu przeczyta a raczej odśpiewa kasydę okolicznościową po arabsku, którą słuchacze zawzięcie będą oklaskiwać, choć jej nikt nie rozumie, nawet zwyczajni i nadzwyczajni profesorowie języka arabskiego.

Oto parę z niej wyjątków (według tłomaczenia, podanego w dziennikach):

„Jakże pięknie jest przybywać z dalekich krajów i jakże wspaniale jest kochającemu po długiej rozłące.

Łzy gorące tryskają mi z oczu, a czuwania nocne zaczerwieniły powieki moje.

...Do ciebie śpieszyłem, o wiedzo, ty ukochana, by z tobą w słodki związek wstąpić.

Wszystkie mowy ludzkie są daleko fałującem morzem.

Żywot ludzki nie dość trwa długo, by mógł głębie jego zbadać. Ale zaszczytnem jest usiłowanie spróbowania sił swoich w tem badaniu.

Arabowie w różnobarwnych muszlach języka swojego znajdują mnóstwo pereł drogocennych; blask ich zaćmiewa skarby innych narodów."

W ostatniej zwrotce zawiera się na grze słów arabskich ułożony kompliment dla cesarza Franciszka Józefa.

Podczas trwania zjazdu, jeden z dzienników wiedeńskich zamieścił odpowiedź na tę kasydę, w narzeczu gminu stolicy; nazywa się ona „Antworts-Kassiderl wielmożnemu Fathallah von Hamza;" powiada ona, pomiędzy innemi rzeczami:

„Nie dziwimy się, że ci się Wiedeń podobał: tyle w nim jest oryentalnego! Masz tu na ulicach pełno piasku i kurzu pustyni; wyziewy rzeczki naszej (Wien) zmuszają cię do kichania, jak narcyzy wschodu; masz tu i bazary, dziesięcio i dwudziesto-grajcarowe; wina ci wprawdzie pić nie wolno, ale nasze, wiedeńskie śmiało spożywaj, bo w niem nie ma ani kropli soku z jagody; znajdziesz u nas senniki egipskie i taką samą w nie wiarę, jak w twej ojczyźnie; lecz jeżeli u nas zostaniesz, to wiedz, że język arabski nie na wiele ci się tu przyda: wyucz się lepiej którego słowiańskiego, to dziś u nas wszystko znaczą."

Ów brodaty jegomość, z kilku zagranicznymi orderami na piersi, zdumiewa nas tem, iż przemawia do nas po polsku i to bardzo poprawnie: to profesor Hasdeu z Bukaresztu; na jednem z ostatnich posiedzeń przyjmie udział w rozprawach z węgrem Hunfalvym o początku języka rumuńskiego. Przemawia do nas również po polsku profesor wiedeński Dawid Müller; urodzony w Galicyi, mimo że ją bardzo dawno opuścił i polakiem nie jest, mowy naszej nie zapomniał. On pierwszy zaczął wykładać gramatykę porównawczą języków semickich i tem sobie rozgłos zjednał.

Uwija się ze dwudziestu japończyków, we frakach, okularach i z białymi krawatami: il n'y a plus d'Asie! Ale oczy wszystkich zwracają się na ślicznego chińczyka, w stroju narodowym, z długim warkoczem i w pantoflach; to sekretarz poselstwa chińskiego w Paryżu, autor znanej książki francuskiej o Chinach, Czeng Kitong; młody jeszcze człowiek, przystojny, o ślicznych czarnych oczach; wyraz twarzy dowcipny i inteligentny; mówi wybornie po francusku; na obiedzie oryentalistów, po obfitszych libacyach, gdy zaczęto mówki wygłaszać, nasz chińczyk zabrał głos i tak zręcznie a dowcipnie przemówił, że zakasował wszystkich oratorów.

Tam za stołem prezydyalnym zasiada po środku arcyksiążę Rajner, protektor zjazdu i wogóle badań Wschodu, właściciel niezmiernie ważnego i ciekawego zbioru papirusów, nad którego stopniowem ogłaszaniem pracuje cała rzesza uczonych, pod przewodnictwem profesora wiedeńskiego Karabaczka (czecha tylko z nazwiska). Obok arcyksięcia, z prawej strony siedzi bardzo wysoki, przystojny i wcale młodo wyglądający Gautsch, minister oświaty; z lewej, przewodniczący zjazdu, były minister handlu, oryentalista, baron Kremer. Obaj głos na wstępie zabierają; pierwszy w krótkiej przemowie podnosi znaczenie Wiednia w dziejach styczności Wschodu z Europą i oddaje hołd pamięci Menińskiego i Hammer-Purgstalla; drugi mówi długo, po francusku, szkicuje historyę studyów oryentalnych i rozwodzi się nad wpływem handlu ze wschodem.

Dwóch panów góruje wzrostem nad całem gronem: jeden z nich—to znawca chińczyzny, von der Gabelentz, a drugi, bohater zjazdu tegorocznego, profesor Naville z Gienewy, egiptolog, wydawca „Księgi zmarłych" egipskiej, obsypany zaszczytami i powszechnem uznaniem za to wydawnictwo.

Wysokimi, choć w innem znaczeniu, są nieobecni, ale wpisani do listy członków: cesarz brazylijski, król szwedzki, arcyks. Karol Ludwik, chedyw egipski i książę Filip koburski.

A oto rozproszeni po sali, mniej lub więcej głośni: hr. Landberg, wysłany przez króla szwedzkiego z wdzięcznie przez kongres przyjętem zaproszeniem na nowy zjazd w r. 1888 do Sztokholmu; Dworzak, młody docent arabszczyzny z Pragi; Vambéry z Pesztu; Dümichen, Ebers, Hommel, Hübschmann, Roth, Weber, Windisch z Niemiec; Darmesteter, H. Derenbourg, Feer, Oppert Jul., Schefer, wysłaniec instytutu, wszyscy z Francyi; panna Amelia Edwards, zajmująca się egiptologią, Cust, Temple i wielu innych z Anglii; z Włoch stary i kulawy Lignana, który znał Mickiewicza i kilka słów po polsku do nas przemówić umie; z Holandyi cały szereg pilnych oryentalistów, z Pleytem i Tielem na czele; kilkunastu wreszcie z Ameryki, Egiptu, Turcyi i Indyi.

Jak się bawiono u ministra Gautscha, u arcyks. Rajnera, w ratuszu, na wspólnym obiedzie i podczas wycieczki na Kahlenberg, o tem pisałem w *Kraju*. Wspomnieć tu jeszcze wypada o odczytach i wnioskach, które najwięcej uwagi zwróciły.

Kongres podzielił się na pięć oddziałów: arabski, semicki (oprócz arabszczyzny), aryjski, afrykański (właściwie egipski) i azyatycko-polinezyjski (właściwie średnio i wschodnio-azyatycki w połączeniu z malajsko-polinezyjskim). Każdy z oddziałów miał swoje biuro i oddzielnie zasiadał.

W oddziale arabskim baron Kremer miał odczyt o finansach za Haruna al Raszyda, bardzo życzliwie przyjęty; Goldziher prawił o rodzie Almohadów; jeden z arabów egipskich mówił o gwarach ludowych w Egipcie: holender Snouck Hurgronje, składając swój „Zbiór przysłów mekkańskich," objaśnił układ i znaczenie dzieła swojego; Jakub Artin Basza toż uczynił, przedstawiając „Dzieje prac instytutu egipskiego" przez Vidala Beja; Hommel odczytał przyczynek do badań nad legendą o Jozafacie i Barlaamie, zawierającą, pod firmą dwóch świętych, podanie o Buddzie; Rachad Efendi wyłożył dzieje oświaty w Egipcie w ostatnim lat tysiącu; Karabaczek mówił o wnioskach paleograficznych, powziętych ze zbadania papirusu arabskiego arcyks. Rajnera.

W oddziale semickim rozprawiano o gramatyce babilońskiej (Bezold), o formie li-

ryki hebrajskiej (Ball), o brzmieniach s w semityzmie (D. Müller); Strassmaier okazywał kopie napisów Nabonida, których część postanowiono wydrukować w aktach zjazdu; na wniosek Nöldekego i D. Müllera, uchwalono popierać wydanie krytycznego tekstu Talmudu, a na żądanie tegoż Müllera i Patkanowa z (Petersburga), postanowiono prosić rząd rosyjski o systematyczne gromadzenie napisów klinowych za Kaukazem i o popieranie zbierania takowych w Armenii tureckiej; wreszcie mówiono o nowoodkrytych napisach nestoryańskich i klinowych, oraz słowniku aryjskim Fryd. Delitscha, który świeżo się ukazał.

Oddział aryjski, jakkolwiek licznie reprezentowany, nie odznaczył się na zjeździe tym żadnymi odczytami donioślejszego znaczenia. Zapowiedziano przekład praw Manu (Jolly) i innych zabytków sanskryckich; uczczono stuletnią rocznicę urodzin anglika Wilsona, który w swoim czasie wielkie położył zasługi w badaniu sanskrytu; zajmującym był wykład Hunfalvego o początku języka rumuńskiego; każe on go szukać na południu Dunaju; kapitan Temple z Indyi zapowiedział ogłoszenie zbioru przysłów hindustańskich nieboszczyka Fallona; złożono pracę Dillona o Awescie; kilka osób mówiło o dżajnizmie; uchwalono zachęcanie do gromadzenia zasobów do gwaroznawstwa indyjskiego; rozbierano kwestye gramatyczne języka wedów; stwierdzono niepowodzenie ułożenia jednostajnej transkrypcyi sanskrytu; polecono rządowi angielskiemu kandydata na posadę epigrafisty w Indyach (Kielhorna); rozprawiano i trochę się sprzeczano o pochodzeniu cyganów, a raczej ich języka; nikt dziś nie wątpi, iż jest on narzeczem sanskryckiem; chodzi tylko o to, którego mianowicie; przy tej sposobności podniesiono zasługi Miklosicha, który zebrał i ogłosił bardzo wiele materyałów, służących do badania mowy cygańskiej; udzielono wiadomości o nowoodkrytych rękopismach indyjskich; Hanusz miał zajmujący odczyt o języku ormian w Kutach (pisał już o tem w tomie XI Rozpraw Akademii krakowskiej); Winternitz z Wiednia mówił o czci zmarłych u indo-europejczyków; prof. Hasdeu rozbierał żywioły tureckie w języku rumuńskim; prof. Straszewski podnosił konieczność nieograniczania początkowych dziejów filozofii Grecyą i wskazywał potrzebę szukania ich w Chinach i Indyach; odczyt ten przyjęto bardzo życzliwie; na zakończenie Bhandarkar wygłosił recitativo sanskryckie, wiersz na cześć zjazdu.

W oddziale afrykańskim zajmowano się przeważnie Egiptem, chociaż mówiono także i o językach innych części Afryki. Zajął bardzo odczyt Eisenlohra z Heidelberga o papirusach, prawiących o naruszaniu grobów królewskich; kilka osób dotykało stosunku żydów z Egiptem, według podań biblijnych i egipskich (Whitehouse, Krall); największej zajęcia budził wykład Navilla o wydanej przezeń „Księdze zmarłych,“ wkładanej jako *wijatyk* do grobów, a zawierającej wskazówki, co i jak ma mówić i czynić dusza zmarła na tamtym świecie, szczególnie w pierwszych dniach wędrówki, gdy się spotka z palestrą niebieską, a raczej piekielną. Panna Edwards zachęcała do pilniejszego badania zabytków egipskich, będących własnością osób prywatnych i muzeów prowincyonalnych, szczególnie w Anglii, gdzie, jak to przykładami dowiodła, znajduje się mnóstwo ciekawych pism i napisów.

W oddziale wschodnio-azyatyckim i polinezyjskim Cust z Anglii polecił odczytanie rozprawy swej o obecnym stanie znajomości języków Oceanii; Terrien de Lacouperie mówił o językach w Chinach przed chińczykami i pokazywał pierwsze arkusze obszernej swej pracy o monetach azyatyckich ze zbioru Muzeum brytańskiego; przedstawiono kopie i objaśnienia różnych napisów chińskich, oraz zbiory słownikowe narzeczy malajskich.

Wszystkie te odczyty wyjdą w ciągu lat dwóch w Aktach kongresu; tymczasem najogólniejszą tylko treść ich podać można, bo nie były czytane w całości, dla braku czasu; sześć dni bowiem zaledwie wystarcza na podanie ich w najkrótszem streszczeniu i przeprowadzenie dorywczej tylko dyskusyi. Cel i zadanie zjazdów naukowych wogóle, a oryentalistów w szczególności, zważywszy rozmaitość i mnogość zajmujących ich przedmiotów, polega nie tyle na wysłuchaniu odczytów, ile na wskazaniu najpilniejszych zadań i zamiarów, oraz na osobistem zbliżeniu i porozumieniu się członków, które znakomicie się przyczyniają do podziału pracy naukowej i wzajemnego udzielenia sobie najświeższych odkryć i poglądów.

Wkrótce po zjeździe wiedeńskim, 10 października, zgromadziły się w Eisenachu dwa stowarzyszenia pisarzy niemieckich i uchwaliły zlać się w jedno, pod nazwą „deutsche Schriftstellervereinigung“ (okropny ten wyraz na to chyba jest wynaleziony, żeby zaimponował długością swą i symbolicznie wyrażał ilość bohaterów pióra i atramentu w Niemczech); odbędzie ono nowy zjazd za pół roku i wówczas okaże, czego pragnie i co zamierza. Tymczasem godnym jest zanotowania szczegół, że do komisyi stowarzyszenia, złożonej z dziewięciu osób, wybrano obecnie i postanowiono wybierać zawsze na sześciu mężczyzn trzy kobiety.

Jan Karłowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

RENAN W DRAMACIE.

„Byłbym w rozpaczy, gdybym musiał przebywać ten okres zniedołężnienia, gdy człowiek, co miał siłę i męztwo, zostaje tylko cieniem samego siebie i ku wielkiej uciesze głupców burzy życie, które z takim trudem zbudował.“

Rénana *Wspomnienia z dzieciństwa i młodości.*

I.

Tak powiada największy humanista wieku, przewidując, jak gawiedź klerykalna, u łoża śmierci czyhać będzie na wyznania kłamiące jego godłom; protestuje on zawczasu przeciwko słabości, którą rozmiękczony przez starość mózg, zmusi go kiedyś wypowiedzieć lub okazać.

Tę jedynie miarę głębi przekonania stosując do każdego utworu, można należycie pojąć byłego seminarzystę z Treguier. To mówi nie zwyczajny szermierz swobodnej myśli, ale człowiek stworzony do księżej sutanny i wydarty kościołowi tylko potęgą wiedzy i prawości.

Gdy więc takie usta przemawiają, słucha się ich z namaszczeniem. Podobną ucztę duchową sprawiają one miłośnikom swym już po raz drugi w tym roku — nowym dramatem p. n.: *Ksieni z Jouarre* *).

Od pewnego czasu autor *Początków chrześcijaństwa* nadaje swym wywodom formę poetycką, twierdząc w przedmowie do *Kapłana z Nemi*, iż „w dzisiejszym stanie umysłów dyalog to jedyny sposób wykładania pojęć filozoficznych,“ albowiem „prawdy tego rodzaju winny być pokazywane ze wszystkich stron, zarówno słabej, jak mocnej“ i nie mogą „ulegać ani stanowczemu potwierdzeniu, ani zaprzeczeniu.“

Ale to jeno skromność pisarska tak szepce. Suche rozprawy Platona, pomimo iż Renan na nie się powołuje, nie mają nic wspólnego z jego obrazami, pełnymi wzniosłego polotu i nieopisanego czaru. *Rex nemorensis* przypomina je jeszcze trochę gwałtownymi odskokami od osnowy; są tam różne postacie, niepotrzebne wcale dla akcyi, ale streszczające z wyraźną intencyą prozaika czynniki upadku państwowego: „samolubstwo możnych, głupota tłumu, bezsilność ludzi rozumnych, podłość kapłana obłudnego, niemoc wolnomyślnego, przeniewierstwa miłości dla ojczyzny,“ słowem wszystkie furye, co pracowały nad zwyrodnieniem narodu. Lecz ponad tą z góry i na trzeźwo obliczoną grą żywiołów zgubnych, unosi się poetyczne tchnienie męczeństwa, przenika je niepochwytny urok ziemi łacińskiej i dawnej naiwnej wiary w bogów. Autistios, bohater tragedyi, to typ wzniosły, jak sama idea Chrystosowa, to wcielenie świadomych cierpień i katuszy dla tryumfu wyższych pojęć. Pragnie on znieść okrutny zwyczaj zabijania poprzednika, będący głównym warunkiem prawego piastowania władzy duchownej, lecz prześladowany przez tłuszczę i przebiegłych arystokratów, ginie z ręki zbrodniarza, który lepiej do upodobania ślepego motłochu przypadał. Z nim idzie w grób szlachetne apostolstwo, ale i sama Alba pada u stóp tytana — Rzymu, z którym zmierzyć się było nad jej siły. Pozostaje piękna Sybilla, natchniona przez zmarłego odwagą i poświęceniem dla prawdy. Mści się ona za śmierć świętego bohatera, rodakom wróży rychłą zagładę i zwiastuje przybycie od wschodu tajemnej a potężnej idei, którą poprzedziły proroctwa, a która zapewni zwycięztwo dobremu nad złem.

Takiej otuchy na przyszłość nie daje nam jednak przebieg dramatu. Tam górą górą dzikie instynkta masy, której za mało ludzkiego mięsa. Łaknie ona ofiar i ofiar coraz więcej; jak zwierz oblizuje się wściekle, trawiona niepohamowaną żądzą krwi bratniej i wierzy, że to bogowie z Dyaną na czele domagają się haraczu z ciał albańskich. Chociaż więc Carmenta zapowiada królestwo boże, chociaż autor pociesza wiarą, że postęp idej religijnych i moralnych zyska w końcu przewagę, a światło, pomimo przejściowych goryczy i zawodów rozproszy cienie, jednak nadzieja te wyrozumowana, rzekłbym sztuczna, bo oczywiście zgon Antistiosa szydzi z niej.

Tak więc *Kapłan z Nemi* jest w gruncie rzeczy objawem pesymizmu. Drgają w nim jeszcze odgłosy walk, które przechodził poeta-myśliciel; wieje zeń ponury nastrój, w jaki na zawsze, zdawało się, wprawił go przełom własnej natury, pożegnanie ukochanych od niemowlęctwa wierzeń i złudzeń i nowy sojusz z duchem czasu. Rdzeniem opowieści jest smutne posłannictwo reformatora, który nie mruży oczu przed mieczem fanatyka, nie lęka się niepowodzeń, lecz pod puklerzem wiary w swoje posłannictwo, mężnie idzie na spotkanie śmierci, niezachwiany ani na chwilę, nie słabnący w energii. Tak pojmuje obowiązek istot wyjątkowych Renan — i mielibyśmy prawo domyślać się w losach bohatera osobistej jego wiary. Toż i on pora się już lat kilkadziesiąt ze złą wolą, zabobonem, przesądem, intrygą i mrokiem. I on bolał nad niemi i za chleb podawany światu, odbierał wdzięczność kamienną; ewangeliczne jego zasady wyszydzano, karykaturowano z piekielną złością aż po dzień dzisiejszy, kiedy nauki Ganea, uosabiającego w dramacie pierwiastek łotrowski; ogłaszają za własny jego pogląd. (*Prêtre de Nemi*, IX, 87—94).

Ksieni z Jouarre jest wyrazem nowszego zwrotu w filozofii Rénana, a zarazem głośnym hymnem na cześć pogody i ziemskiego szczęścia. Posępna zaduma znikła, a miejsce jej zajęła promienna jasność ducha, jak gdyby burze i zwątpienia skryły się na dno duszy, zostawiając gładką i przezroczą powierzchnię. Niby w kry-

*) *L'Abbesse de Jouarre.* Paryż, 1886.

sztale, załamują się w tym utworze smugi słońca wszystkiemi barwami tęczy i ogarniają czytelnika świeżością odmłodnionej przyrody.

Ksieni z Jouarre jeszcze bardziej zbliża się do formy poematu scenicznego. Akcya toczy się pełniej, osobistości poruszają żwawiej, efektów wstrząsających znacznie więcej. Zresztą mniemam, że tkwiące w nich ciepło da uczuć wyraźniej skrócona treść.

Jednej z owych czarnych chwil rewolucyi francuskiej, kiedy to głowy jak sieczka spadały z pod gilotyny, w więzieniu du Plessie czekała na wyrok stracenia garstka patrycyuszów. Jeden z nich, hr. d'Arcy, z osobliwym hartem rozstaje się z ziemią i nie złorzeczy, wzorem towarzyszów niedoli, katom. Klątwy La Ferté'go, który żżyma się na tyranię i co chwila wybucha pogardą i jadem, obrzuca sędziów mianem małp, bydląt, nędzników i całym słownikiem pochlebnych przezwisk — nie wzruszają go. Jest to jednostka wyższa nad płytki gniew i nie spodziewa się gadatliwością ulżyć zbiedzonemu sercu. Czuje on, że przez szał ruchawki społecznej przemawia wyższa sprawiedliwość dziejowa, że to nie swawola rozbestwionego pospólstwa, ale walka na śmierć i życie o prawo, wydarte przemocą, przeciw uciskowi, w którego jarzmie tyle wieków kraj jego jęczał, że to dalszy ciąg tej samej roboty, którą niegdyś przodkowie jego rozpoczęli. Gotów jest cieszyć się, jeśli partya buntu zatryumfuje—bo będzie miał dowód, że jej sztandar na to zasłużył. „To, czego pragnęliśmy, czemu poświęciliśmy życie, rozwija się bez nas i wbrew nam, a jednak trzeba mu przyklasnąć. Nieubłagany porządek rzeczy gruntuje słuszność z pomocą krzywdy, zapewnia postęp rozumu przez barbarzyństwo." Podniosła wymowa idealisty zjednywa nawet dumnego La Ferte'go.

D'Arcy ma jedno tylko życzenie: schodząc z padołu, chciałby po raz ostatni uścisnąć drogie mu osoby. Nieba zlitowały się nad nim: Niebawem wprowadzają na dziedziniec, jako kandydatkę do szafotu, kobietę, w której zdumiony poznaje ubóstwianą kochankę. Biegnie ku niej, oczom własnym nie wierząc, i wita radośnie, lecz ona łagodnie acz niezłomnie go odtrąca, nie chcąc u progu wieczności brukać czystej duszy pokusami. Nieszczęsny młodzian korzy się przed tym majestatem niewinności, odchodzi i szuka ujścia dla wezbranych uczuć w rozmowie, z której dowiadujemy się bliższych szczegółów o zagadkowej niewieście.

Godną jest ona czci bałwochwalczej, jaką ją d'Arcy otaczał. Powab ciała i podniosłość ducha nie mogły się na większe arcydzieło złożyć. A jednak życie jej nie zna uśmiechu, wyrzekła się jego roskoszy i przywdziała nawet suknię mniszki, okoliwszy czoło żałobnym welonem — nie dla tego, by zwiększyć zastępy klasztorne, ale na znak powagi i przejęcia się posłannictwem odrodzenia wiary. Mistrzem jej był Turgot, „najzupełniejszy" człowiek w historyi Francyi — jak powiada autor — ów wielki minister, który w tych samych murach, niegdyś przybytku wiedzy, a teraz rozdzielonych na celki więzienne, odebrał wykształcenie. On to, przybrawszy Julię za córkę, każe jej rzucić czcze formy dogmatów, twierdząc, że „nie mógłby całe życie nosić maski na twarzy." Usłuchała go, stała się przewodniczką pokolenia, co „kiedyś będzie duszą" narodu; obcując z przednimi umysłami, zdobyła mądrość wieku i o tem tylko marzyła, by w religię wlać nowe soki żywotne, zaczerpnięte z filozofii, by odbudować kościół na podstawach racyonalnych. Ale przyszła zawierucha i ją porwała. Nie ucieknie więc przed nią, nie zlęknie się błysku strasznego topora.

Taką jest dziewica, zwana „ksienią z Jouarre."

Gdy samotna tonie w rozmyślaniach i rozpamiętywa przeszłość, nagle jak mara z pod ziemi zjawia się d'Arcy. Chciałaby go przekląć, iż wkrada się w uroczystej dobie kalać jej myśli — ale niema męztwa i w niej ocknęła się naraz z całą potęgą miłość tłumiona. Daremnie wzywa na pomoc przewodnią gwiazdę swego życia, gorące prośby kochanka zmiękczają stopniowo upór, który znajduje już tylko podporę w dumie i godności. Namiętne słowa d'Arcego palą ją żarem, a bardziej jeszcze pokonywają jego uwagi. Zaklina ją na święte węzły miłości, na przebyte bóle, na grozę bliskiej śmierci, by podała się rozkazowi natury, który świat i ludzie mogliby wprawdzie skrępować obyczajem, ale który jest tworem nieskończoności i u wrót jej odzyskuje swobodę. „Gdyby Bóg zesłał kochankom, co zamknęli oczy na zawsze, nie zakosztowawszy pieszczoty, jedną noc zmiłowania po za grobem, czyż wyrzucałby im, że zapełnili roskoszą godzinę, którą ich obdarzyło jego miłosierdzie? Takiem jest nasze położenie. Miłość nasza niema jutra."

A mówi to nie młodzik, upojony wonią powabnego ciała i sypiący jak z rękawa sofizmaty, z których sam otrzeźwiawszy, drwi, lecz mąż przetrawiony ogniem życia, myśliciel, brzydzący się kłamstwem. Zresztą szczerość słów natchnionych jest aż nadto widoczną. „Ludzie nas zabijają, korzystajmy z tego, ich prawa puste i przemijające nas już obowiązywać nie mogą."

Cóż dziwnego, że taką bronią złamał ostatnie skrupuły...

Teraz chwile, jakie pozostawały czułej parze, były dla niej ciężarem. Tęsknią za mogiłą jak za cudnym krajem, którego przedsmak dał im uścisk miłosny. Wkrótce też posłowie śmierci nadchodzą i zabierają z sobą gromadkę skazańców, a z nimi d'Arcego.

A Julia? Została. Na liście jej nie było. Okropna pomyłka czy szyderstwo losu, wykreśliło z niej nagle imię „ksieni z Jouarre." Nie pomogły łzy, wybuchy rozpaczy, błagalne prośby — skazano ją *na życie*. Ludziska otaczający dziwili się temu głodowi nicości, ale nań poradzić nic chcieli ani umieli. Przed złowrogo uratowaną stała się teraz droga łez i hańby. Komuż ją zawdzięczyć ma?

Dzielnemu żołnierzowi, nieznanemu bohaterowi wojny ze sprzymierzoną Europą. Za czyny sławne i waleczność rząd go wyróżnił i na znak chwały obiecał spełnić najwyszukańsze pragnienie. Młody rycerz zna oddawna wzniosłą męczennicę, modlił się do niej zdaleka jak do patronki, więc widząc dolę jej opłakaną, poprosił o ułaskawienie — i przychylono się.

Kiedy wszedł do celi oznajmić nowinę, jak mniemał radosną, a jak się przekonał okropną — osłupiał przed tym ogromem cierpienia. Przysięgi czci najgłębszej, miłości najczystszej, nie mogły Julii skłonić do zgody z przeznaczeniem: pozostała głazem. Usiłowała sama pogonić za śmiercią, ale nawpół już uduszoną straż ocuciła i przywróciła do życia. Nowy wylew żalu zwabił jednego z współwięźniów — kapłana, który nieraz już słyszał o cnotach „ksieni z Jouarre"; nieśmiało choć serdecznie przystępuje on do dzieła pociechy. Prostotą i głębokiem współczuciem udało mu się wymódz spowiedź i jak balsamem czarodziejskim ukoić szarpiący ból odwołaniem się do przyszłego macierzyństwa i udręczeń, które okupią jej winy.

(D. n.)

TAJEMNICE „ŚMIETANKI."

II.

Wypadnie chyba, że reszta szacownego personelu znalazła się „na rozstajnych drogach" — ależ bynajmniej. Wszystkie prawie kobiety i mężczyźni mają tam cel jasno wytknięty: rozpustę, nikczemność, zdradę, dumę niepokonaną i wogóle nie siedm, ale siedmset grzechów głównych. Nikt się tam nie zawaha ani przed skłamaniem, ani przed podejściem, otruciem, uduszeniem etc. etc. Wszyscy, prócz nielicznej garstki znanych nam bohaterów, którą mógłby powiększyć jeszcze tylko lekarz Salm, wspomniany sułtan, zwany Grafem Kozakiem dla swych mołojeckich upodobań i parę komparsów, stanowią jedną szkołę, jedną grupę, przegryzioną do szpiku kości przez rdzę występku. Autor łudzi się grubo, przeciwstawiając nauki socyalisty sasowskiej atmosferze duchowej, otwierając zosobna mózgi poetów i literatów różnych odcieni. To nie *różne drogi*, ale jedna; Horn, to potomek, acz nieprawy, takich samych ludzi jak Sas-Przyjemscy, jeno wykształceńszy, silniejszy, bo rozbestwiony goryczą i zazdrością, tak samo gładki, wytworny i rycerski. Reszta odbita podług jednego systematycznego szablonu, który sobie autor zawczasu przygotował.

Ostatecznie więc idea przewodnia romansu gdzieś się ulotniła i daleko słuszniej uczynimy, jeśli jej szukać będziemy w parodyi arystokratycznego życia. Śmietanka towarzystwa, owa „najlepsza, najdelikatniejsza, ma się tutaj prawdziwie z pyszna. Niema łotrowstwa, któregoby szlachetni przedstawiciele „czystej krwi" nie dopuszczali się. Autor z zacietrzewieniem maluje głębokie nieuctwo paniczów herbowych, ich wstręt do oświaty, źrebięcą pasyę do wyścigów, hołdy dla tancerek i wogóle ów ciasny zakres pojęć i wyobrażeń, który nadaje im, zwłaszcza na tle wielkomiejskiem, pozór typowo-idyotyczny. To pewna, że z męztwem pisarza odsłaniając tajniki „najwyższej sfery," odczuwa boleść niezmierną; rozrywa sobie łono, któreby chętnie tuliło się do piersi owych hrabiów i książąt. Właściwe bowiem p. Sowińskiego *credo* społeczne brzmi (str. 224 t. II): „prawdziwa arystokracya rodu, połączona z bogactwem i uświetniona wychowaniem, jakie tylko najwyższe sfery świata uprzywilejowanym istotom swoim dać są w możności," wyziera ono z zachwytu nad „iście królewską dystynkcyą państwa Włodzimierzostwa" (str. 61, t. III). Rzeczywiście, autor w dodatnich typach daje *mimowoli i bezwiednie* próbki tych tak cenionych przymiotów. Panna Berta, szczera przyjaciółka Kseni, równa jej pochodzeniem, sypie dwuznacznikami, jakich używają tylko szansonistki i kelnerki w winiarniach paryskich. Mówi ona do Kseni: „zaścielemy ci łoże (ślubne) najpiękniejszemi różami, byleby tylko ciałka twego nie uraził kolec jaki niedobry..." Wylatuje do ogrodu i całuje się z Grafem Kozakiem jak pierwsza lepsza subretka, pragnie przezeń być „rozdartą" (sic), zdybana w kąpieli nie uczuwa wstydu, opowiada o kędziorku między ramieniem a piersią itd. itd.

Odraza do kleru jest już bardziej szczerą, „podszywa on pod płaszcz religijny... rozmaite stowarzyszenia pobożne i jałmużnicze, banki pod fałszywemi firmami... nareszcie cały legion oszustów."

Za wszystkie te obrazy, za tę galeryę cnót dwóch sprzymierzonych koteryj — należy się p. Sowińskiemu duża wdzięczność. Tu wykazuje on prawdziwą znajomość rzeczy, archiwa sądowe nie mogłyby lepiej poinformować o tajemnicach Sasowa i tym podobnych gniazd.

Za to wszystkie inne sprężyny akcyi, osobistości drugoplanowe, układ wypadków, charakterystyka pojęć i zwyczajów, toną w wybujałym nad wszelką miarę romantyzmie. Prawda i natura zostały podeptane, przyczynowość i psychologię bez ceremonii wyrzucono za drzwi. Doktor Salm jest cudownym chirurgiem i psy-

chiatrą zarazem. Horn przepysznym jeźdźcem, znakomitym pijakiem, niezmiernie uczonym. Biuro wywiadowcze Horna *alias*, syn karczmarza, *alias* Icek, student uniwersytetu, wyborową polszczyznę przeplata okrzykami „aj waj!“ Graf-Kozak ma całe stada arabów, harem w namiotach. Pani Lais urządza „noce ateńskie“ z sabatem i kotłem wrzącego rumu, ponczem i różnemi nalewkami, orgie pospołu z dziewczętami dworskiemi zupełnie na sposób rzymski, z Bachusem na beczce, bachantkami etc,, a Horn w imieniu socyalistów uznaje to za „ideał społeczeństwa“ (str. 216 t. I). On też nazajutrz po przybyciu przypuszcza szturm do jakiejś milionowej księżnej — ex-klucznicy i obiecawszy jej tron w nieznanem królestwie, wyłudza w ciągu pięciu minut 100,000 rs. List Proudhon, i Blanc, znaleźli się w księgozbiorze sasowskim. Wszyscy tam są bajecznie piękni. We Włoszech, dokąd autor, stęskniony za „nieobecnością,“ przenosi dramat i aktorów, słychać tylko huk wystrzałów, szczęk stali, brzęk kajdan, jak gdyby odżyły tam czasy Borgii, Orsinich, Colonnów. Na morzu jedyna Ksenia nie dostaje choroby (szczyt idealizmu!). W Wenecyi państwo Włodzimierstwo stają w Alberga di Luna, a jest to skromny bardzo hotel, dostępny nawet dla niżej podpisanego chudopachołka.

Środki malarskie p. Sowińskiego są dosyć monotonne. Ale patos, w którym uderza dziwna obfitość rymów ładnych, wkładanych w usta bohaterom, jako improwizacya albo dowcip, nie zawsze smaczny. „Duch pychy i etykiety panuje“ aż kilkanaście razy. Bezustannie ktoś kogoś wyciąga na brednie. Wspomniana pretendentka do berła nazywa Armidę Harmatą, gdzieindziej znowu Apollina ma za jakiegoś żyjącego Napolina, grupę Marforio w bladze podaje za znajomego; Jonasza za Janusza. Niedoszły konkurent Kseni p. Sęp mniema, że Żyronda jest bohaterką romansu — takich efektów jest bez liku.

Widzimy więc, że szan. autor w swej powieści współczesnej zachował manierę „archywalną,“ wizerunek „psychyczny,“ jest przesadzony, tendencyjny i tak tem zniechęcił i znużył czytelnika, że rozciekawienie, towarzyszące pierwszemu tomowi, przechodzi w dalszym ciągu w cierpliwość i wytrwałość. Minęło już upodobanie do *Tajemnic Londynu*, *Paryża*, *Syna szatana*, romansów Gaboriau itp. fantazyj — a od nich bezsprzecznie zapożyczoną została łapina, w której autor zamknął swą szeroko może odczutą i uplanowaną, ale nader nieumiejętnie, niemal dziecinnie, zobrazowaną satyrę społeczną.

Wreszcie uwagę pedantów zwracam na barbaryzmy: „detonacya“ (zam. huk), „dosyć z was“ (str. 27 i 36 t. I), „suma wyręczona z przedaży,“ „uczeni nie rozpaczają dociec“ (str. 12 i 42 t. II), oraz kilkanaście innych.

N. H.

KARTKI ESTETYCZNE.

IV. Poezya bezpłciowa.

Było zwyczajem — lat temu dwadzieścia czy trzydzieści—nazywać Deotymę „wieszczką.“ Nazwa ta oznaczała coś więcej niż talent poetycki, przyznawała bowiem pannie Jadwidze Łuszczewskiej dar wieszczenia, to jest: jasnowidzenia i prorokowania. Proroctwa naszej poetki nie są znane, przynajmniej literackiemu światu; jasnowidztwo jednak znajdować ma swe potwierdzenie w obszernym utworze poetyczny, pod tytułem: *Polska w pieśni*.

Część pierwsza tego utworu wyszła w r. 1860. Mieszczą się w niej: „Wojna olbrzymów,“ „Wyszymir“ i „Dwunastu wojewodów.“ Trzy te fragmenty są trzema prześlicznemi — bajkami. Zwłaszcza fantastyczna opowieść o miłości Wiesławy i Wyszymira skrzy się bogactwem obrazów, posiadających świetność kryształów... lodowych. Cały ten fantazmat mieni się ślepiącemi barwy, jak zorza północna, ale też, podobnie jak zorza, nie wytwarza ani ciepła, ani myśli, ani wzruszenia...

Część druga *Polski w pieśni* ukazała się w dniach ostatnich i zawiera poemat dramatyczny w pięciu aktach, z prologiem i epilogiem p. n. „Wanda.“ Poematem nazywa ten utwór sama autorka — nie tając wszakże jednocześnie, iż widzi w nim żywioły prawdziwego dramatu. „Wanda“ — pisze ona — w takim kształcie, w jakim się obecnie pojawia, nie może być graną na teatrze, dla swoich zbyt obszernych rozmiarów, ale zdaje się, że wewnętrzna jej budowa nie sprzeciwia się w niczem warunkom scenicznym.“ Jest to wszakże tylko autorskie złudzenie. „Wanda“ na deskach scenicznych byłaby rodzajem deklamowanego baletu, który nadmiarem deklamacyi, a brakiem urozmaicenia, znużyłby widza — tak samo, jak obecnie, w formie książkowej, nuży czytelnika.

Bo przedewszystkiem czytelnik tu pozbawiony jest najgłówniejszego magnesu, zespalającego z utworem literackim, a mianowicie owej ciekawości, ktora wyraża się pytaniem: „jak się to skończy?“ Któż w Polsce nie zna losów „Wandy, co nie chciała niemca!..“

Ponieważ w zawiązaniu węzła dramatycznego wyręcza autorkę legenda, pozostaje więc jej tylko ów popis jasnowidzenia, zasadzający się na plastycznem odtworzeniu epoki, którą kronikarze lekkiemi tylko szkicują wzmiankami.

Jestże ta epoka wiernie odgadnioną?

Trudno na pytanie to odpowiedzieć twierdząco.

Idee, w imię których główna bohaterka Deotymy walczy... ze sobą, noszą datę nie VIII-go, lecz XIX-go stulecia. O tak zwane „prawa kobiety“ nie kłopotano się z pewnością za czasów Krakusa i Wandy. Poetka chciała przez takie rozszerzenie intencyi wzmocnić postać Krakusowej córki, tymczasem ją osłabiła. Postacie legendowe odznaczają się prostotą i jednolitością: dodawać coś do nich, znączy psuć je. Gdyby w poemacie wyłączną pobudką bohaterstwa „Wandy“ była miłość ojczyzny, bohaterstwo to stałoby się o wiele potężniejsze i silniej na czytelników działało. Ale zimnym on pozostanie wobec ślubów czystości, składanych przez bohaterkę przed Dziewanną i wobec szumnych a beztreściwych zaklęć Wandy:

Żaden śmiertelnik serca mego nie otrzyma —
Sprawie bogini (?) to serce bez zmazy poświęcę...

Legenda nic nie mówi o miłości Wandy dla Rytygiera, ale poetka przedstawia nam polską władczynię zakochaną w niemieckim księciu. Bez tego nie byłoby „dramatycznego poematu.“ Walka obowiązku (ślubu czystości) z uczuciem, tem silniejszem, że tłumionem, stanowi oś dramatyczną pięciu długich aktów oraz prologu i epilogu. Wątek to trochę za szczupły.

Dla wypełnienia czemś, od siebie dodanem, ogromnej przestrzeni utworu, wprowadza Deotyma jednego jeszcze miłośnika Wandy, Stanisława. Ale ten Stanisław, choć lechita, nie ma w sobie nic lechickiego. Jest on wcieleniem ckliwej miękości. Do królowej przemawia chwilami tym lękliwym szeptem, jaki ujść może jedynie w ustach pazia, objawiającego swą dziecinną miłość namiętnej Maryi Stuart...

...Gdy nie jestem przy niej
Układam słowa rzewne...
Gdy wejdzie, oniemiewam, jak wobec bogini.
. . . . .
Jam zawsze z sercem śmiałem, usta miał nieśmiałe...
. . . . . Z kornem czołem,
Nigdy jeszcze i kraju twych szat nie dotknąłem.
. . . . . Ból wpił we mnie szpony.
Powiedz przynajmniej, za co jestem pogardzony?

Czytelnik, porównywając tę mdłą postać z rycerską swadą Wandy i jej towarzyszek, przychodzi do wniosku, że w społeczeństwie, którego niewieścia połowa ma serca ze stali, męska musi posiadać serca... z galarety.

W ogólności, w całym tym utworze, naturalny porządek rzeczy wywrócony jest na nice. Białogłowy biją się, rządzą i sądzą; mężowie, nawet tak z pozoru groźni jak Wyrwidąb i Waligóra, „porywają się“ tylko niekiedy do walki, ale po zamienieniu kilku uszczypliwych przygryzków, chowają czempręd|ej miecze do pochew. W kobiecość Wandy trudno uwierzyć. Jest to nie *virgo* ale *virago*. Poetka kładzie wprawdzie jej w usta retoryczne rozprawy na temat miłości, nie budzą one jednak wiary w czytelniku, który pamięta własne wyznanie Wandy, dane jako odpowiedź posłom Rytygiera:

Strzeliste słowa — i celnie puszczane,
Jednak przez blachę nie wdarły się w serce;
Na sojusz, zgoda; na przyjaźń, przystanę,
Lecz o miłości nie mówcie rycerze.
... *W pancernej niewieście*
Tkliwości żadnem nie zbudzisz zaklęciem.

Takimi twardymi rysami nakreśliwszy Wandę, pozbawiła ją poetka głównej siły sympatycznej i nie dopuściła do dramatu nawet możliwości szczerych walk serdecznych. Zgoła inaczej byłoby, gdyby w bohaterce „pancerna niewiasta“ i kochająca dziewica przejawiały się *równomiernie*.

Nagłe tylko i krótkie błyski, podobne iskrom wykrzesanym z krzemienia, dobywają się chwilami z tego serca stalowego. Należy do nich cudownie piękna modlitwa do Dziewanny o uwolnienie ze ślubu:

Nieskalana! Przez wszystkie potęgi kochania,
Przez czar powitania,
Dreszcz oczekiwania,
Rozpacz pożegnania,
Ach! przez śmierć rozstania
Zaklinam ciebie:
Zapomnij o mnie w twem słonecznem niebie!
Jam na ziemi — ja chcę ziemi,
Z radościami jej gorzkiemi,
Cierpieniami czarownemi!
Za wysoko bogiń tron —
Tam niebo — gdzie on!

Jakże żałować trzeba, że lutnia Deotymy, na której, obok bawełnianych, są też i szczerozłote struny, nie odzywa się częściej takim szczerym, ludzkim głosem! Schyliliby przed nią wówczas czoła najzawziętsi nawet przeciwnicy, a krytyka nie wahałaby się nazwać jej, nie „wieszczką“ wprawdzie (Nostradamusy pojawiają się dziś tylko w kalendarzach, a ich siostry kładą kucharkom kabałę po Dunaju), lecz prawdziwą, polską poetką.

Dotychczasowe jednak pieśni Deotymy chorują na pewną śmiertelną wadę, a mianowicie na brak tego, co się „płcią“ nazywa.

Nie chce ona, czy też nie może być polską Safoną, to jest: wyobrażać w poezyi pierwiastek kobiecości; a jednocześnie za słabe ma siły, aby stanąć w jednym rzędzie z talentami męzkimi. Stąd, nawet po ziemi stąpając, nie jest ona córką ziemi, lecz czemś niepochwytnem, z chłodnych myśli i zimnych barw ulepionem; czemś, do czego nikt nie będzie w możności przemówić „siostro!“ ani nawet — „bracie!“

Ten artystyczny *kryptogamizm* najwidoczniej występuje tam, kędy Deotyma sceny miłosne maluje. Jest to malowidło powierzchowne, martwe, z gotowych wzorów kopiowane, nieodczute i nieprzeżyte.

W scenie XV aktu czwartego. słowik i skowronek, przyśpiewujący niby-artystycznym monologom Wandy, pożyczone są od Shakespeara ze ślubnej nocy Romea i Julii. W innem znów miejscu, jedna

z rycerek, towarzyszek Wandy, tak opisuje urok pocałunku:

Jak się z wiatrem skłaniają dwa kłosy,
Jak w jeden puklerz trafiają dwie strzały,
Jak się za tknięciem łączą dwa płomienie,
Tak zwolna a niezwalczenie
Usta się nasze spotkały.

W strofie tej znajdują się trzy porównania, z których pierwsze jest zimne, drugie nietrafne, a trzecie dopiero doskonałe. Ale to trzecie... wzięte jest od Schillera.

Zaprzeczać „Wandzie" wszelkich piękności poetyckich byłoby niesprawiedliwością. Niema w niej mistrzowskich sytuacyj, ale są mistrzowskie obrazy. Kilka luźnych pieśni i hymnów stanowią, same przez się, perły polskiej poezyi (naprzykład ta, którą śpiewa na str. 103 Płomniewa o wojnie i pokoju). Bierze ochota wydobyć je z monotonnych piasków tej pięcioaktowej pustyni i oddzielnie światu pokazać.

I te kwiaty, które mróz na szybach maluje, bywają piękne i wspaniałe; ludzie jednak oddadzą każdej chwili bez wahania to piękno i tę wspaniałość za prostotę najlichszego kwiatka — żywego.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Obraz święta umarłych. — Zabawa na grobach. — Hymny. — Rzezimieszkowie i niszczyciele mogił. — Na 300 rocznicę śmierci Batorego. — Niedola olbrzymów i szczęście karłów.— Proces *Gazety lubelskiej*.— Znowu ofiara „dyfamacyi." — Dziwy w kurscettlu komisyi kolonizacyjnej. — *Wisła* i p. W. Nałkowski. — Dla nauki.

„W dzień święta umarłych tłumniej tam (na cmentarzu) i *gwarniej*, niż zwykle. Szczególniej w tym roku, z powodu *przepysznej suchej pogody*... Powązki roiły się rozmaitą ludnością, która samą obecnością swoją, tłoczeniem się, najcichszą nawet rozmową, musiała sprawiać tumult, nieliczący z ciszą cmentarną...

Co czas jakiś ktoś w tłoku mdlał...

Wyniesiono cztery kobiety zemdlone, a piąta, przewróciwszy się, złamała prawą nogę w biodrze.

Godną potępienia jest lekkomyślność rodziców, wprowadzających w taki tłok małe dzieci.

Ośmioletni chłopczyna, omdlawszy, dostał krwotoku...

Sześcioletnia córeczka państwa B. upadła na ziemię pośród tłumu... Gdy ją podniesiono, nie dawała znaków życia i dopiero po przyniesieniu do przyległej bawaryi, zdołano doprowadzić ją do przytomności...

Cały legion służby cmentarnej i policyantów nie mógł przeszkodzić deptaniu mogił, niszczeniu pomników."

Oto w głównych rysach nasz obraz „święta umarłych," nakreślony prawomyślnem piórem *Kuryera warsz.* Czytając ten opis, powtarzający się z małemi zmianami corocznie, pytacie może: czy podobna, ażeby boleść dziesiątków tysięcy serc smutnych tak wzbierała 2 listopada, że one muszą w tym dniu ją łzami wylać na mogiłach śród gwaru, ścisku, duszenia dzieci i dorosłych? Czy podobna, ażeby szczere żale wypłakiwały się o umówionej porze? Nie, Zaduszki przybierają u nas coraz bardziej charakter zabawy, jak Zielone świątki na Bielanach lub Wielkanoc na Placu Ujazdowskim, z tą tylko różnicą, że są weselem w krepie, tańcem na mogiłach, śmiechem, roznoszącym swoje echa po grobach, które przez rok cały słyszą jedynie skargi boleści. Karnawał daleko, rozrywek w jesieni mało, czemuż więc tłum chciwy igrzysk nie ma potoczyć się szeroką falą na Powązki, zwłaszcza gdy „pogoda przepyszna — sucha?" Szkoła zamieniona na szynk, kościół — na ujeżdżalnię, sala sejmowa — na kozę — wszystko to są widoki, z których wieje ku nam zawsze uczucie przykre. Nie znam wszakże w tego rodzaju przemianach objawu większej ohydy niż cmentarz zgwałcony dla zabawy. Za to potulne i łagodne zwierzę— hyena stała się przedmiotem powszechnej odrazy. Rozweseleni niszczyciele i gwałciciele grobów nie są lepsi od hyen. Pisma oburzają się, że podczas obchodu Zaduszek rzezimieszkowie podbierają kieszenie „pobożnych." Ależ to są gołębie w porównaniu ze swemi ofiarami. Każdy z nas chętnie rzekłby:

Pobożny przyjacielu, weź moją portmonetkę, tylko nie niszcz i nie znieważaj mi grobu.

O, jak często człowiek nie wie, że stracił prawo do gardzenia innymi.

Na 13 grudnia r. b. galicyanie przygotowują pielgrzymkę do trumny Stefana Batorego i obchód 300 letniej rocznicy jego śmierci. Jeżeli w tym dniu będzie „przepyszna pogoda," nie wyprawcie sobie weseli zaduszkarze uczty na Wawelu. Nie znieważajcie przynajmniej tych prochów gwarem kiermaszowym. Chcecie nad nimi się pomodlić, albo przeżyć chwilę wspomnieniami przeszłości, albo nastroić swą duszę żałobnie — idźcie, ale nie urządzajcie igrzyska. Nie urządzajcie go, bo Stefan nie wstanie i berłem swojem was nie rozpędzi, lecz pozwoli, ażebyście brzęczeli jak osy, które w starym szyszaku uwiły sobie gniazdo.

Król ten stanął mi z innymi bohaterami w pamięci, gdy czytałem w pismach utyskiwania *Figara* nad niedolą pokazywanego w Paryżu olbrzyma. „Między wszystkiemi zjawiskami potwornemi — powiada A. Millaud — olbrzym jest niewątpliwie najbardziej pożałowania godnem... Karła kobiety pieszczą, huśtają na kolanach, noszą w mufkach i stawiają na stole. Może on wszędzie mieszkać wygodnie: w futerale lornetki teatralnej i w bombonierce... A olbrzym! Czy jest coś, co bardziej każdemu stałoby na drodze i czemu bardziej każdy stałby na drodze! Dokąd pójdzie, zawadza wszystkim i wszyscy mu zawadzają... Olbrzymom wiodło się w czasach bohaterskich, gdy pod imieniem Tytanów dokuczali Jowiszowi i bogom Olimpu. Dzisiaj są to istoty najnieszczęśliwsze..." Jeżeli zaś nieszczęśliwym jest Winkelmayer, który tylko trzyma przeszło cztery łokcie miary, to cóż mówić o ludziach wyższych od niego głową! Biedne istoty. W nauce, sztuce, literaturze, polityce — wszędzie zadrosszczą pieszczonym karzełkom, które niewiele potrzebują miejsca, nikomu nie przeszkadzają i byle czem się zadowolnią. Przypuszczam, że każdy olbrzym nieraz zazdrości maluczkim ich wygody i miewa chwile, w których przeklina swoje rozmiary. Świat stworzony został dla karłów, kolosy są jego męczennikami. Prawda, Batory? Czytałem niegdyś twoje listy, pełne skarg na małoduszną szlachtę — jakże w nich odbijała się smutnie twoja wielkość! Szkoda, że śpisz snem wiecznym i nie możesz słyszeć; powiedzielibyśmy ci wiele ciekawych rzeczy, z których przekonałbyś się, że olbrzymom dobrze — po śmierci.

Karły, dzierżawcy dobrodziejstw życia, nie skarżcież mnie o „dyfamacyę," bo choć mi nie będzie wolno powoływać się na zeznania świadków, złożę dowody piśmienne. Brak takich dowodów naraził p. W. Dawida, redaktora *Gazety lubelskiej*, na zapłacenie 25 rs. kary. W piśmie tem wydrukowano korespondencyę, zawierającą rodzajowy obrazek wyborów gminnych pewnej osady, w którym na pierwszym planie występował pisarz „zarumieniony," a jego żona z butelką częstującą wyborców. Obrażony podał do sądu skargę o „dyfamacyę," to jest o przestępstwo, pozbawiające obronę możności powoływania świadków. Pogłoski, krążące około nowego kodeksu karnego, dotąd jeszcze niewypracowanego, zapewniały, że zeń ma być usunięty paragraf o „dyfamacyi." Stanowi on rzeczywiście dokuczliwe kiełzno dla prasy i nie pozwala u nas rozwinąć się krytyce publicznej. Korespondenci prowincyonalni często dziwią się, czemu z ich wiarogodnych doniesień redakcye korzystać nie chcą. Otóż hamulcem jest nieszczęsna dyfamacya. Przypuśćmy, że istotnie gdzieś pisarz gminny popełnił nadużycie jawne i że jakaś gazeta je ogłosiła. Wtedy przyłapany nie skarży się o „potwarz," przy której można uzasadniać słuszność zarzutów świadkami, lecz o „zniesławienie," które wolno popierać tylko dowodami piśmiennymi. Chociażby więc owo nadużycie dokonanem było wobec miliona osób i wszystkie mogły zaprzysiądz fakt — kodeks odcina redaktora od tych świadectw i skazuje na karę. Co gorsza, ów redaktor w przekonaniu ogółu, nieznającego przepisów prawnych, wychodzi z sądu napiętnowany znamieniem oszczerstwa, pomimo że ogłosił najwierniejszą prawdę. Oto klucz do zrozumienia wielu wyników spraw dziennikarskich, klucz, który — mamy nadzieję — w nowym kodeksie raz na zawsze przepadnie.

Bez klucza możemy rozwiązać zagadkę, czemu rząd pruski, nagrodziwszy ofiarami panów, pragnących mu sprzedać swoje majątki, zwrócił się do chłopów polskich i podobno daje im po 300 m. za mórg. Krótkie doświadczenie nauczyło komisyę kolonizacyjną, że jej złote granaty ryć się będą w mury twierdzy szlacheckiej „jak w masło," ale od skały chłopskiej odskakują. Tu tkwi opór, a nie w zwolennikach zaleconej przez ks. Bismarka „podróży do Monaco," w niebezpieczną więc stronę zwrócono działa nabite markami. Skutkiem tej zmiany kurscettel giełdy germanizacyjnej przedstawia dziwne zjawisko; mórg ziemi chłopskiej kosztuje dwa razy więcej, niż takiej samej szlacheckiej; nadto tam ciągły popyt bez tranzakcyj, a tu ustawiczna podaż bez żądania. Gdyby wszyscy djabli ilustrowali bieżącą kartę naszego życia, nie wymyśliliby nic zjadliwszego od żywego obrazu naszej własnej roboty. Stępiła nam się wrażliwość na niecnotę swojską, ale historyk, który ową kartę w przyszłości czytać będzie, przetrze sobie nieraz oczy, ażeby uwierzyć, że one go nie mylą.

Szczegółowe sprawozdania zawiadamiają nas o obradach nad nowym organem prasy p. t.: *Wisła*, poświęconym krajoznawstwu. W pierwotnem założeniu sprawie tej miał służyć *Wędrowiec*, ale ostatnia redakcya zrobiła zeń „coś na kształt świdra" i zamiast odkręcić jego dziwaczne skręty, które czasami wprawiają w zdumienie najbujniejszą fantazyę, sprawiła sitko nowe. Bodajby ono jaknajdłużej wypełniało się wiadomościami z etnografii i geografii krajowej, bo więcej go potrzebujemy, niż świeżych „programów," tłukących duszne powietrze papierowemi skrzydłami. W ogłoszonym wszakże składzie redakcyi, przedstawiającej rodzaj „ministeryum do spraw bieżących," nie znaleźliśmy właśnie tego nazwiska, które stanowiłoby najlepszą rękojmię przedsięwzięcia — p. W. Nałkowskiego. Jest to dziś u nas najpoważniejszy geograf, uczony, który nie ma nic wspólnego z literatami „czystej wody" i który niezawodnie uprawi zaniedbaną u nas niwę. Jemu więc przedewszystkiem *Wisła* powierzyć się winna, on ją pogłębi, ureguluje, ubezpieczy od mielizn i rozlewów. Ogół nasz, który uczy się encyklopedyi literatury z prospektów i pism periodycznych, który widzi klejnoty w bańkach mydlanych, nie

zna wielu ludzi istotnej wartości, bo ich na rynku pracy nie widuje. Do tej cieniem zasłoniętej gromadki należy również p. W. Nałkowski, którego geografia fizyczna ma wkrótce wyjść nakładem Kasy Mianowskiego. W tej pracy spodziewamy się cennego nabytku dla nauki, która czasem doprawdy wygląda u nas, jak stara, waląca się stodoła, przeznaczona na rozebranie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Stagnacya w wyprzedawaniu się niemcom. — Dobre usługi *Słowa*. — Ze statystyki cmentarnej większej własności ziemskiej w Galicyi. — Co uratuje większą własność naszą podług *Wieku* i co nam da miliony podług *Korespondenta płockiego*. — Jak się wyrazi solidarność żydów płockich? — Złoty dźwięk dobrego czynu.

Efialtesowa lista polskich panów, sprzedających ziemie swe komisyi kolonizacyjnej, nie wydłuża się. Nowe nazwiska nie przybywają. Czy Efialtesów już więcej niema w tej sferze? Czy głos oburzenia i boleści, który się wydarł z piersi całego narodu, powstrzymał skwapliwych? Czy założenie banku ratunkowego błysło nadzieją przetopienia ziemi i stanowiska obywatelskiego niekoniecznie w płomieniu hańby? Czy nareszcie komisya kolonizacyjna sama teraz odtrąca ofiarowane jej nowe kęsy polskiej ziemi, dopokąd się nie upora ze szmatami, które już połknęła?

Nie chcę lekką ręką podsuwać czytelnikowi żadnego z powyższych rozwiązań. Za mało mam na to wskazówek, a te, które mam, smutne są. Do nich przybyła w ostatnich czasach jedna. *Słowo* warszawskie usiłuje przekonać cyframi, że polscy obywatele w poznańskiem muszą sprzedać niemcom jeszcze więcej niż piątą część posiadanej dziś ziemi, za 82,700,000 marek; obecnie bowiem obszary dworskie, po opłaceniu podatków i procentów, przynoszą tylko po 1 marce 40 fenigów z morga, na utrzymanie zaś domów, melioracye i reparacye w gospodarstwie potrzeba liczyć po 3 marki z morga. Rodzi się stąd deficyt, którego inną ceną niepodobna wygładzić. *Słowo* rachuje, że ziemia polska w W. Ks. Poznańskiem warta jest w okrągłych cyfrach 525 milionów marek, że przynosi *brutto* 3% dochodu i że obciąża ją dług wynoszący 247½ milionów marek, za który płacić trzeba po 5%.

Nie posiadam niezbędnych materyałów do sprawdzenia powyższego rachunku. Nie chcę nawet i nad tem się zastanawiać, czy istotnie tameczne „majątki polskie, leżące po największej części w najlepszej glebie" tylko 3% *brutto* dochodu przynoszą. Gdyby wszakże zgodzić się na te wszystkie cyfry, to jeszcze i wtedy wystąpienie *Słowa* musi robić wrażenie gorsze, niż tak zwana adwokacka obrona. Adwokat broni obwinionego już po dokonaniu czynu, który nań oskarżenie ściągnął; przewidujące *Słowo* zawczasu i z góry wyjednać usiłuje wyrok usprawiedliwiający, zanim jeszcze ofiarne całopalenie piątej części kraju stanie się czynem dokonanym. Czy przynajmniej obrona sympatycznych „ofiarników" była wyczerpującą? Czy istotnie zadłużoną ziemię koniecznie *stracić* musimy, czyli niemcom sprzedać? Czy wszystkie długi zaciągnięte były od niemców tylko? Czy polskim wierzycielom żadna już płachetka ziemi nie przypadnie? Czy sławny bank ratunkowy patrzeć ma z założonemi rękami na tę zapowiadaną, hurtowną wyprzedaż? Wspomniany artykuł *Słowa* przedrukowały niemal wszystkie pisma polskie, a mało które wystąpiło z zastrzeżeniami. Dziś ów artykuł działać może z siłą prawdziwej zarazy moralnej, z góry wyjednywając pobłażliwość i dla przyszłych sprzedawców i dla przyszłego banku. Mogą w nim czerpać otuchę. Byłoż wystąpienie *Słowa* obmyślane? — rozumne?

Od spraw poznańskich przejdę do stosunków rolnych galicyjskich, na które ciekawe światło rzuca obszerny referat p. Franciszka Stefczyka p. t.: „Licytacye sądowe większej posiadłości ziemskiej w Galicyi od r. 1871 do 1885." W ciągu tego dziesięciolecia sprzedano w Galicyi drogą przymusową 520 większych posiadłości ziemskich, czyli przeciętnie po 52 rocznie. Opierając się na statystycznych zestawieniach, autor wspomniony spostrzega, że w północno-wschodniej Galicy wystawiane bywają na przymusową licytacyę majątki o stosunkowo najwyższej cenie szacunkowej, która w przecięciu przekracza 110,000 złr. Pierwsze miejsce tu trzymają okręgi sądowe: tarnopolski i kołomyjski. Natomiast w zachodniej części kraju, w obwodach krakowskim, wadowickim, nowo-sądeckim, tarnowskim, rzeszowskim, przemyskim, przeciętna cena szacunkowa wynosi 57,000 złr. W obwodach kołomyjskim, złoczowskim i tarnopolskim sprzedano z licytacyi sądowej między innemi pięć majątków z sumą szacunkową wyżej miliona. Ponieważ wszystkich okręgów sądowych jest 13, a sprzedaży licytacyjnych odbyło się przez 10 lat 520, wypadałoby tedy przeciętnie po 40 sprzedaży na okręg przez lat dziesięć, czyli po 4 rocznie. W rzeczywistości cyfry wcale inaczej się układają. Kiedy okręg wadowicki miał przez cały ten czas 5 sprzedaży, czyli jedną na 2 lata, to przemyski miał ich 89, czyli po 9 rocznie. Szkoda, że autor zaniedbał podać objaśnienie różnic tak uderzających. W 130 wypadkach domagało się licytacyi galicyjskie Towarzystwo kredytowe we Lwowie, w 109 galicyjski Bank hypoteczny we Lwowie, w 154 rozmaite inne zakłady kredytowe, w 3 Wydział krajowy imieniem funduszów stypendyalnych, w 3 c. k. prokuratorya skarbu, w 105 osoby prywatne i w 16 wierzyciel niepodany. Z liczby 105 wierzycieli prywatnych, autor na podstawie brzmienia nazwisk zalicza 56 do starozakonnych, pozostałych zaś 49 do chrześcian. Przyczem nadmienia, że ci ostatni występują przeważnie w charakterze właścicieli legatów spadkowych. Wogóle p. Stefczyk widzi w Galicyi postęp ku lepszemu. Spostrzeżenie zaś swoje opiera na tem, że naprzód liczba licytacyj, dosięgłszy *maximum* w r. 1879, odtąd przez cztery lata maleje; wzrost jej zaś w ostatnich dwóch latach „możemy przypisać nadzwyczajnej konsternacyi wywołanej przez konkurencyę zagraniczną" — czynnik, z którym dawniej „mało się liczono." Trochę dziwnem się wydaje, że p. Stefczyk optymizm swój na takiej wspiera podstawie. „Konsternacya" z przyczyny konkurencyi postronnej zwiększać się obiecuje raczej niż zmniejszać, w miarę jak zaeuropejskie rolnictwo coraz lepiej i na rozleglejszą stopę wyzyskiwać będzie swe doskonałe warunki.

Drugą podstawą dobrych widoków na przyszłość jest okoliczność, że stosunek liczebny wierzycieli prywatnych wogóle, a zwłaszcza wierzycieli żydów, zmniejszył się bardzo w drugiej połowie okresu dziesięcioletniego; natomiast instytucye kredytowe coraz przeważniejszą rolę odgrywają. One zaś dają kredyt tańszy.

Ta pociecha w istocie coś znaczy, a znaczyłaby jeszcze więcej, gdyby nie to, że i ten tańszy kredyt podobno wcale nie tanio ziemianom galicyjskim wypada. Bądź co bądź, człowiek jest tak spragniony jakiejkolwiek pomyślniejszej wieści, że chce uwierzyć w materyalne podniesienie bodaj nieznaczne galicyjskiego rolnictwa, które tylko przeciętnie po 52 majątki za cenę 4 milionów rocznie wystawia na sprzedaż.

Nad losami ziemian w Królestwie zastanawiał się niedawno bezimienny ekonomista w *Wieku*. Postawiwszy sobie pytanie: „dlaczego rolnik u nas towar swój zazwyczaj sprzedaje niżej rzeczywistej jego wartości" — znalazł odpowiedź dość słuszną i nienową, że „przy kupnie zboża kupiec ma za sobą wszelkie *for* specyalisty w swoim fachu handlowym, odpowiednio przygotowanego i rutynowanego, wówczas gdy rolnik występuje jako dyletant, przez którego sprawy handlowe traktowane są tylko przygodnie." Ale nowem jest lekarstwo, mające temu stanowi rzeczy zaradzić. „Poprawa stanowcza nastąpi, gdy ze rdzennego, miejscowego żywiołu wytworzy się potężna klasa bogatych przemysłowców i kupców, tak zwana za granicą *la haute bourgeoisie*." Ta bowiem klasa otworzy „dyletantom" tani kredyt... Zapewnia o tem wspomniany ekonomista. Że tani kredyt może zastąpić fachowość, to już jest jasne jak słońce.

Ponieważ wytworzenie mieszczaństwa bogatego i potężnego należy do przyszłości, zapewne dość dalekiej, więc tymczasem *Korespondent płocki* wskazuje krótszą drogę wzbogacenia kraju milionami, dziś wywożonymi za granicę. Powołując się na list ziemianina, p. P., zachęca do plantowania kawy na ziemi uprawnej, jak pod warzywo. Pan P. otrzymał bardzo dobry rezultat z zaprowadzenia takich plantacyj na ziemi lżejszej, a średni rezultat — z ziemi gliniastej. Niebawem tedy kawa płocka, protegowana przez tameczną „Zgodę," zacznie nas bogacić.

Z tegoż pisma czerpię przyczynek do stosunków żydowskich u nas. Dozór bóżniczny płocki rozesłał swoim członkom zaproszenia w żargonie i w języku niemieckim — z pominięciem polskiego.

Żydzi zazwyczaj gniewają się, gdy za winy jednego lub kilku czyni ktoś odpowiedzialnym ich ogół, jakoby solidaryzujący się z każdym ze swych współwyznawców. Otóż płoccy żydzi mają wyborną sposobność dowiedzenia, iż nie solidaryzują się z członkami swego dozoru bóżniczego w poczytywaniu niemczyzny za drugi, obok żargonu ojczysty, swój język.

Na zakończenie fakt, o którym donosi korospondent *Wieku* z okolic Janowa ordynackiego. Ksiądz dziekan tameczny otrzymał bezimiennie 92 dukaty holenderskie w złocie dla rozdania między włościan majątków, należących przed kilkudziesięciu laty do rodziny Wiercieńskich, jako naprawę krzywd wyrządzonych tymże włościanom przed pół wiekiem. Dla wsi Stojeszyna przeznaczono 21 dukatów, dla Lutego 16, dla Wierzchowisk 46 i dla wsi Antolin i Majdan Obleszcze 9 dukatów. W d. 10 października r. b. naczelnik powiatu Janowskiego, wezwawszy do gminy gromady wsi wzmiankowanych, doręczył im dukaty podług woli niewiadomego dawcy. Gromady jednomyślnie przeznaczyły cały ten kapitał na rzecz kościoła parafialnego w Modliborzycach, do dyspozycyi miejscowego proboszcza. Tak się uczciwie piorą złe tradycye. Niestety niestarczyłoby wody na wypranie wszystkich.

Jakiem echem ozwie się dźwięk tych dziewięćdziesięciu dwóch dukatów w sercach tych, którzy na słowo uwierzyć gotowi humoryście, twierdzącemu, że na pracę około zdobycia szacunku i miłości ludu... dziś już trochę późno?

K. Zbrucki.

Z CESARSTWA.

Te same *Nowosti*, które po za kwestyą bułgarską nie widziały wcale innych objawów życia społecznego, poruszyły właśnie

doniosłą sprawę wewnętrzną. Zawiera się ona mianowicie w samem pytaniu: czy prasa powinna poświęcać główną uwagę zagadnieniom wewnętrznym, z czego wypłynęła naturalnie krytyka współczesnego dziennikarstwa, badanie przyczyn jego upadku w związku z nastrojem moralnym i umysłowym czytelników itd. Wspominałem poprzednio o artykule p. Michniewicza, który głęboko i gorąco zajął się obniżeniem poziomu etycznego i społecznego prasy rosyjskiej. Artykuł ten wywołał nietylko mnóstwo replik ze strony czytelników, na które odpowiedział znowu autor, ale skłonił także do zabrania głosu kilku wybitniejszych przedstawicieli literatury rosyjskiej, jak pp. D. Mordowcew, P. Boborykin i inni.

P. Michniewicz mówiąc o obniżeniu się moralnego i umysłowego poziomu społeczeństwa, słusznie twierdzi, że jest to najważniejsza, najbardziej zasadnicza sprawa wewnętrzna, a nawet, że ma ona bezpośredni związek z przebiegiem polityki zewnętrznej. „Prasa nasza obecnie—mówi on— z ojcowską troskliwością zajmuje się wyłącznie prawie pouczaniem rozkiełznanych braciszków-bułgarów, wykazywaniem ich demoralizacyi umysłowej i moralnej, oraz nawracaniem ich na drogę prawdy. Bardzo to pięknie, bezwątpienia, ale czy „bratuszki“ nie mają czasem racyi odpowiedzieć naszemu dziennikarstwu i „wykształconej“ publiczności słowami apostoła Łukasza: lokarzu, wylecz się sam.“

„Rzeczywiście, troszczyć się o uzdrowienie sąsiadów wtedy, kiedy we własnym domu potrzeba nam koniecznie energicznej dezinfekcyi — jest to, doprawdy, dziwna i niewłaściwa szczodrobliwość. A oprócz tego należy pamiętać, że w sąsiednich stosunkach międzyplemiennych siła wpływu narodowego danego społeczeństwa jest proporcyonalną do stanu jego kultury i wyższości moralno-umysłowej. Żeby być silnym i oddziaływać w sprawach zewnętrznych, potrzeba przedewszystkiem być wewnątrz krzepkim i zdrowym.“

P. Mordowcew występuje w obronie „oświeconego czytelnika,“ twierdząc, że przyczyną upadku jest pewna demokratyzacya prasy, która zaczęła przystosowywać się do gustów i wymagań tłumu. Ale i p. Michniewicz nie zaprzecza tego, sądzi jednak, że inteligencya głównie jest winna, dlatego, że głos jej nadaje ton opinii ogółu. Pogląd optymistyczny p. Mordowcewa o konieczności ruchu postępowego społeczeństw, niezależnie od warunków zewnętrznych, uzupełnia on uwagą, że według świadectwa historyi przebieg postępu przerywały nieraz kropki, a nawet całe szeregi kropek, nie mówiąc już o innych znakach pisarskich. Dodać by tu można, że bywają czasem nawet wykreślenia całych ustępów.

Oto np. pewna część prasy od dawna już prowadzi zaciętą walkę z samorządem ziemskim i to nietylko z obecną formą jego, posiadającą istotnie wiele stron ujemnych, ale z samą zasadą współudziału społeczeństwa w sprawach, dotyczących zarządu miejscowego. Tymczasem prasa liberalna, której najświętszym obowiązkiem byłoby energiczne wystąpienie w tym przedmiocie, milczy, chociaż nie zaprzecza chyba, że dla społecznego rozwoju narodu, zachowanie i prawidłowa organizacya samorządu miejscowego jest rzeczą stokroć ważniejszą, aniżeli wszelakie awantury, wyprawiane przez niewdzięcznych bułgarów, gdyby nawet nosiły one taki oburzający charakter, jak np. gwałt spełniony na osobie p. Russkiego Strannika, którego agitatorzy bułgarscy wciągnęli w zasadzkę i obili.

Jak wspomnieliśmy wyżej, ziemstwo rosyjskie ma wiele stron ujemnych; w ostatnich czasach zwłaszcza ujawnione zostały liczne nadużycia, które dadzą się podciągnąć pod kilka kategoryj. Nie są to więc już objawy przypadkowe, ale znamienne rysy istniejącego stanu rzeczy. Te pisma jednak, które występują przeciw ziemstwom i żądają reformy ich lub całkowitego zniesienia, zapominają, że w czasie największego ożywienia działalności społecznej, w czasie, kiedy właśnie te organy „przywłaszczały sobie nieodpowiednią rolę parlamentów powiatowych i gubernialnych,“ nie było wcale prawie nadużyć, występujących dzisiaj tak dobitnie. Oddanie samorządu miejscowego w ręce szlachty, czego domaga się np. *Grażdanin*, nie usunęłoby wadliwości dzisiejszych, które występują właśnie w tych ziemstwach przeważnie, w których żywioł szlachecki posiada wpływ i większość liczebną. Niektóre oznaki pozwalają wnioskować, że sprawa samorządu ziemskiego znajduje się w poważnem niebezpieczeństwie, niedawno bowiem *Moskowskija Wiedomosti* wystąpiły przeciw niemu z oskarżeniem energicznem i namiętnem. Z obroną zaś wystąpił dotychczas jedynie *Russkij Kurjer*, dziennik uczciwy, nieposiadający wszakże szerokiego wpływu.

„Znamy cenę okoliczności i sił naszych przeciwników — powiada on. Dobrze i od dawna rozumiemy, że „siła łamie słomę“ i że nie my, nie prasa jednego z nami obozu obroni to, co skazane jest na zagładę, albo na zredukowanie, według przepisanej recepty. Ale smutne to przekonanie nie pozbawia nas ani prawa, ani obowiązku obrony tego, w co wierzyliśmy szczerze i wierzymy, w czem widzieliśmy i widzimy pomyślność kraju i nadzieję przyszłego postępu. W pewnych okresach dziejów ludzkich głos umiarkowania i sprawiedliwości rzadko bywa wysłuchany, rzadziej jeszcze wywiera wpływ, a nigdy prawie nie uprzedzi katastrofy. Pomimo to, wiara w słuszność obrony danej sprawy i względy moralne zmuszają nas do odparcia kierunków skrajnych, dają nam odwagę i słabe światło nadziei, że głos umiarkowania i prawdy może być jeszcze wysłuchany.“

Tymczasem reszta prasy t. z. liberalnej, zajęta przebiegiem spraw bułgarskich, zaledwie zdąża za zmieniającą się panoramą wypadków i nie ma czasu myśleć o ziemstwach, albo zapomniała o nich zupełnie, albo machnęła pesymistycznie ręką, podobnie jak p. Boborykin, który w sprawie obniżenia ideałów moralnych i społecznych ogółu czytelników powtarza bolesny wykrzyk Szczedrynowskiego Kramolnikowa: „Nie potrzeba, nie potrzeba, nie potrzeba!“

Ta obojętność, coraz szerzej rozpowszechniająca się w społeczeństwie rosyjskiem, przygotowała grunt pod zasiew doktryn, a raczej jedynej doktryny, której wymownym głosicielem stał się znakomity pisarz rosyjski hr. Lew Tołstoj. Czytelnicy *Prawdy* słyszeli zapewne, że już od lat kilku znakomity autor *Wojny i pokoju* porzucił dotychczasowy tryb życia, pracuje jak prosty robotnik, jak on żywi się i ubiera, potępił całą swoją przeszłą działalność artystyczną i pisze obecnie tylko opowiadania dla ludu, treści pouczającej, oparte bądź to na legendach religijno-moralnych, bądź na apokryficznych żywotach świętych. W swoim czasie pozyskało wielki rozgłos jego wyznanie wiary p. t.: *Moja spowiedź*, wydane za granicą. Obecnie Tołstoj piśmiennie i ustnie, słowem i czynem, wykłada naukę swoją, której główna zasada polega na tem, ażeby *nie sprzeciwiać się złu złem*, tj. siłą. Teorya ta w społeczeństwie inteligentnem znalazła wielu bardzo zwolenników, w prasie zaś wywołała namiętne spory. Zaznaczyć trzeba, że najznakomitsi publicyści rosyjscy i najpoważniejsze pisma surowo potępiły doktrynę, rozumie się, głównie ze względów polityczno-społecznych. Sprawa ta, gdyż polemiką nazwać jej nie można, hr. Tołstoj bowiem nie odpowiadał na zarzuty, zasługuje zewszechmiar na dokładny rozbiór. Nie wdając się obecnie w szczegóły, zaznaczymy tu tylko pewną stronę jej, na którą, o ile wiem, krytyka nie zwróciła należnej uwagi, owszem spotkałem nawet zdania wręcz przeciwne temu, co wypowiedzieć zamierzam.

Jakiś krytyk francuski powiedział, a prasa rosyjska z zadowoleniem powtarza, że propaganda hr. Tołstoja „nie powstrzyma wzrastającego wciąż dążenia do sprzeciwiania się złu.“ Zagadką tylko dla francuza i dla jednomyślnych z nim publicystów rosyjskich pozostaje fakt, jakim sposobem doktryna, przeciwna nauce i postępowi, znaleźć mogła zwolenników w tej właśnie klasie społecznej, której przekonania poniewiera, której odmawia prawa istnienia. Rozwiązania tej zagadki szukać nie będę, ale sądzę, że powodzenie jej można dosyć prawdopodobnie objaśnić.

Powodzenie to polega głównie na zgodności jej z charakterem narodu. Historya sekt rosyjskich przedstawia nam tysiączne przykłady biernego poddania się, niesprzeciwiania się złu siłą. W tych czasach, kiedy raskolnicy (odszczepieńcy) prześladowani byli srogo przez władzę państwową, masy ich ginęły dobrowolnie śmiercią męczeńską. „Samopalenie“ pochłonęło tysiące ofiar. Nieraz wobec władz i wojska, niekiedy zaś bez żadnego powodu sektanci zamykali się w domach, podpalali je i ginęli w płomieniach. Jednym z dogmatów rosyjskiego radykalizmu było zdanie, że sekciarstwo stanowiło w dziejach narodu żywioł protestujący, że było ono reakcyą przeciw biurokratyzmowi i przywilejom klas wyższych.

Zdanie to dodziś posiada wielu wyznawców, chociaż jeden z gruntowniejszych badaczów sekciarstwa, p. Charłamow, wykazał dowodnie, że było ono zawsze protestem biernym. Nauczyciele sektantów głosili tylko, że należy uciekać od zła, nigdy zaś nie nawoływali do walki z niem. Dlatego sekty rosyjskie nie wytworzyły wcale nowych form życia. P. Charłamow utrzymuje, że nawet kozactwo, owe wolne drużyny, osiadające na kresach państwa, wywołane było również chęcią uchronienia się od „zła;“ i ono także nie zdobyło się na żaden protest i świadomie nie wytworzyło żadnych ideałów bytu. Sekty racyonalistyczne rosyjskie: duchoborcy, mołokanie, sztundziści—odrzucają również wszelki protest przeciw temu, co w ich pojęciach jest złem, faktu zaś tego nie można objaśnić jedynie doktryną religijną. Pokrewne im np. sekty anabaptystów, braci czeskich i in. chociaż w zasadzie tak samo uważają za grzech śmiertelny przelew krwi i dzisiaj wiodą bardzo spokojny żywot, w swoim czasie wystąpiły przeciw istniejącemu wówczas w Europie porządkowi rzeczy z protestem gwałtownym i namiętnym. Zdaje mi się, że właściwe znaczenie nauki hr. Tołstoja wtedy tylko ocenionem być może, kiedy postawiona będzie w związku z dziejami sekciarstwa rosyjskiego, z którego charakterem stokroć więcej ma ona podobieństwa, aniżeli np. z budaizmem, chociaż i z tym ostatnim przedstawia pewną, bardzo jednak ogólnikową analogię.

Imiennik Lwa — Aleksy Tołstoj, autor *Księcia srebrnego*, dramatów i poezyj, dosyć znanych i u nas, był znowu wyznawcą zasady sprzeciwiania się złu, chociaż w sposób delikatny, w formie lekkiej satyry. W ostatnim zeszycie *Ruskiej Stariny* znajdujemy dowcipny wiersz jego, teraz dopiero pośmierci autora ogłoszony drukiem. W wierszu tym jest mowa o sprowadzeniu do jednego mianownika różnych narodowości, zaludniających państwo rosyjskie, przy wyliczeniu ich autor szepcze do ucha: *entre nous*, jak powiada, że są między niemi i polacy. Wymienia on i charakteryzuje kilku działaczów wybitnych w tej sprawie „podporządkowywania“ omienionych typów, jak np. ks. Czerkaskiego i in. Dowcipnem bardzo jest zakończenie: autor

ubolewa, „jaka to szkoda, że nie ma u nas etyopów,“ wyobraża bowiem sobie z jakim zapałem jeden działacz mazałby białą farbą „niedozwoloną“ fizyognomię, drugi stosowałby tę operacyę do strony odwrotnej, inny, nazwany pierwszą literą K. „z gorliwością Alby płaszczyłby nosy“, czwarty wreszcie wykrzykiwał: Hosanna Aksios! Żałuję bardzo, że nie mogę podać czytelnikom wiersza tego w przekładzie rymowanym, któryby mógł przedstawić w przybliżeniu dowcip i wdzięk oryginału.

J. L. Popławski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wspaniałą zapomogę, mianowicie 12,000 rs. na budowę domu otrzymała Szkoła rzemiosł przy ulicy Jasnej za naszem pośrednictwem od jednego z szan. abonentów *Prawdy*, któremu nadto zawdzięczamy najpoważniejsze zasiłki dobroczynne. Z tej hojnej ręki w samym dzisiejszym numerze podajemy 150 rs. różnych ofiar. Szanowny dobroczyńca poleca wykazywać je pod kryptonimem, nie odsłaniamy więc jego nazwiska, chociażby je niewątpliwie wielu poznać chciało.

Z Prus. Ks. Kanteckiemu w Poznaniu wytoczono proces za korespondencyę z Warmii, donoszącą, że w szkołach tamtejszych wcale nie uczą po polsku i że są nauczyciele nieznający tego języka. W sądzie oskarżony żądał przesłuchania Spohra, inspektora olsztyńskiego; ten jednak zasłonił się tajemnicą urzędową. Pomimo stwierdzonego faktu i wymownej obrony, skazano ks. Kanteckiego na dwa miesiące więzienia.

P. Ks. Pillati odpowiedział istotnej potrzebie, rozpocząwszy wydawanie „Praktycznych wzorów rysunkowych“ dla dzieci, kształcących się w tej sztuce bez osobnego nauczyciela. Zaniedbanie rysunku należy u nas do błędów tradycyjnych; to też ludzie, którzy odebrali staranne wychowanie, nie umieją nakreślić najprostszych przedmiotów i często w tej nieudolności odczuwają brak dotkliwy. W zeszycie pierwszym p. Pillati na odwrocie wzorów dał kropkowane ich ślady, po których uczeń może z łatwością narysować każdą figurę. Dalsze zeszyty zawierać będą zadania trudniejsze.

Prasa polska. Wydawnictwo tygodnika *Chwila* zostało zawieszone.

Prasa rosyjska. Gazeta kijowska *Zaria* przestała wychodzić wskutek nieporozumienia między redaktorem tytularnym a właścicielem i istotnym kierownikiem pisma p. Kuliszerem.

Gazeta radomska znowu zmienia redakcyę i... zasady. Dotychczasowy kierownik tego pisma p. Z. Pietkiewicz usunął się od zajęć redakcyjnych.

Towarzystwo śpiewackie w Warszawie p. n. „Lutnia“ zostało zatwierdzone przez władzę.

Towarzystwo kredytowe miejskie dla Płocka zostało zatwierdzone.

Ważna zmiana. Dotychczas, jak wiadomo, sądy gminne w Królestwie przyjmowały od interesantów wszelkie podania i dokumenty w języku polskim. Działo się to na mocy postanowienia b. Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, które weszło bez zmiany do ustawy o organizacyi sądownictwa (§ 464, przypisek). Artykuł ten określa, że tylko dokumenty wychodzące od sądu winny być zredagowane bezwarunkowo w języku rosyjskim. Tak też przepis ten tłomaczono np. w znanej sprawie Nostitz-Jackowskiego. Obecnie Senat wyraził inny pogląd w okólniku, wysłanym do zjazdów sędziów pokoju. Ukaz Senatu tłomaczy, że używanie miejscowego języka w rozprawach sądowych dopuszczanem jest tylko w razach wyjątkowych, a więc jedynie w przemówieniach ustnych, wszelkie zaś podania redagowane być winny w języku rosyjskim. Rozporządzenie Senatu jest obowiązującem dla sądów gminnych.

Komisya kolonizacyjna w Poznańskiem i Prusach zachodnich zakupiła dotychczas 10,085 hektarów ziemi za 5,829,000 marek.

Dochód z akcyzy, stanowiący więcej niż 1/4 ogólnego budżetu dochodów, zmniejsza się stale w latach ostatnich, pomimo, a może wskutek podniesionej normy opodatkowania. W r. 1883 wynosił 225, w 1881 217, w 1885 zaś 207 milionów rubli. W r. b. będzie jeszcze niższy, ponieważ w pierwszem półroczu wpłynęło tylko 91 mil. rubli.

Kobiety-lekarze. Dotychczas nie wiadomo było, czy dyplom, wydawany kobietom kształcącym się na kursach w Petersburgu, odpowiada pod względem naukowym dyplomowi lekarza. Teraz dopiero sprawę tę rozstrzygnęła twierdząco „konferencya“ Akademii, pozwalając jednocześnie kobietom-lekarzom przystępować do egzaminu na stopień doktora medycyny.

Śmiała kradzież. W Petersburgu w pobliżu Pałacu zimowego znajduje się łuk tryumfalny, na nim zaś grupa rumaków potrójnej wielkości, odlanych z miedzi. Obecnie dostrzeżono, że koniom tym niewiadomi złodzieje poodrywali ogony, zamiast których powtykali kawałki starych rynien. Dodać trzeba, że łuk wysoki jest na cztery piętra i znajduje się w ożywionej dzielnicy miasta.

Statystyka emigracyi. W Ameryce północnej mieszka 7,300,042 cudzoziemców (tj. ludzi nieurodzonych w kraju), w południowej i środkowej 6,033,159, w Azyi — 1,548,344, w Australii — 789,521, w Afryce — 140,383. Z państw europejskich najwięcej cudzoziemców przebywa we Francyi, bo 1,001,090, natomiast emigrantów francuzów liczą 482,664, wręcz przeciwne stosunki przedstawiają Niemcy, tam bowiem na 276,731 cudzoziemców wypada 2,601,000 emigrantów.

Zmarli. Wiktor Pierre, znany fizyk, profesor politechniki wiedeńskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stał. prenum. Nie.

M. Cw. Czytajcie panowie prace: Bobrzyńskiego, Szujskiego do historyi, Kuliczkowskiego, Spasowicza do hist. lit. Udzielaniem lekcyj w tych przedmiotach zajmuje się kilku młodych badaczów, których wskazać możemy.

A. Kor. Autor chce pozostać bezimiennym—z Warszawy.

P. F. Jaś. Brukselskiego. Dziękujemy za objaśnienie do artykułu p. Karłowicza, że panna K. W. wyszła za kuzyna tegoż nazwiska, mieszka w Warszawie i album posiada.

OFIARY.

Dla biednych. Bezimiennie rs. 1.
Na wpis dla uczniów. J. G. z Iliniec rs. 1; S. rs. 50.
Dla studentek polek w Petersburgu. S. rs. 50.
Dla wypędzonych. S. rs. 50.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Октября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.